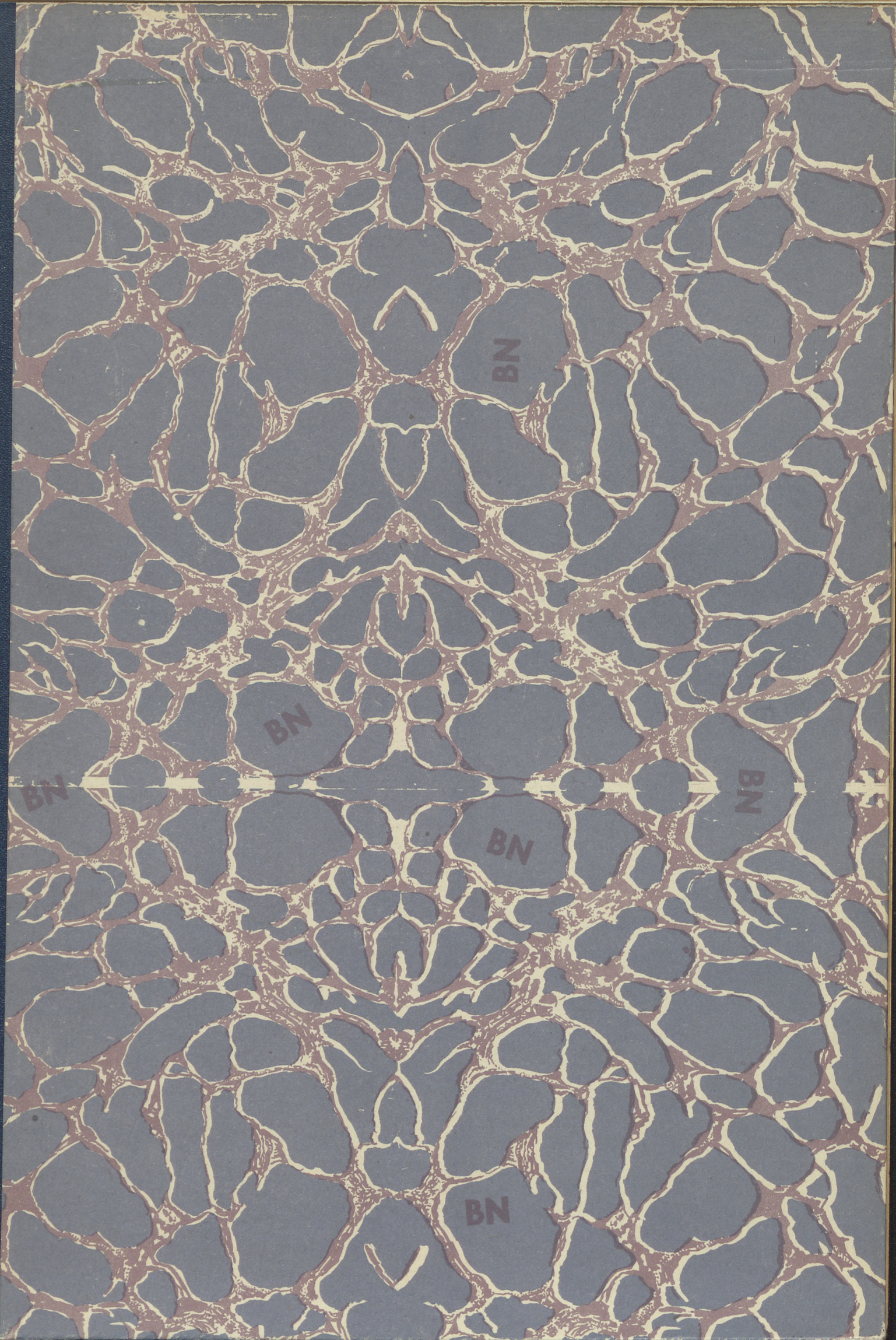
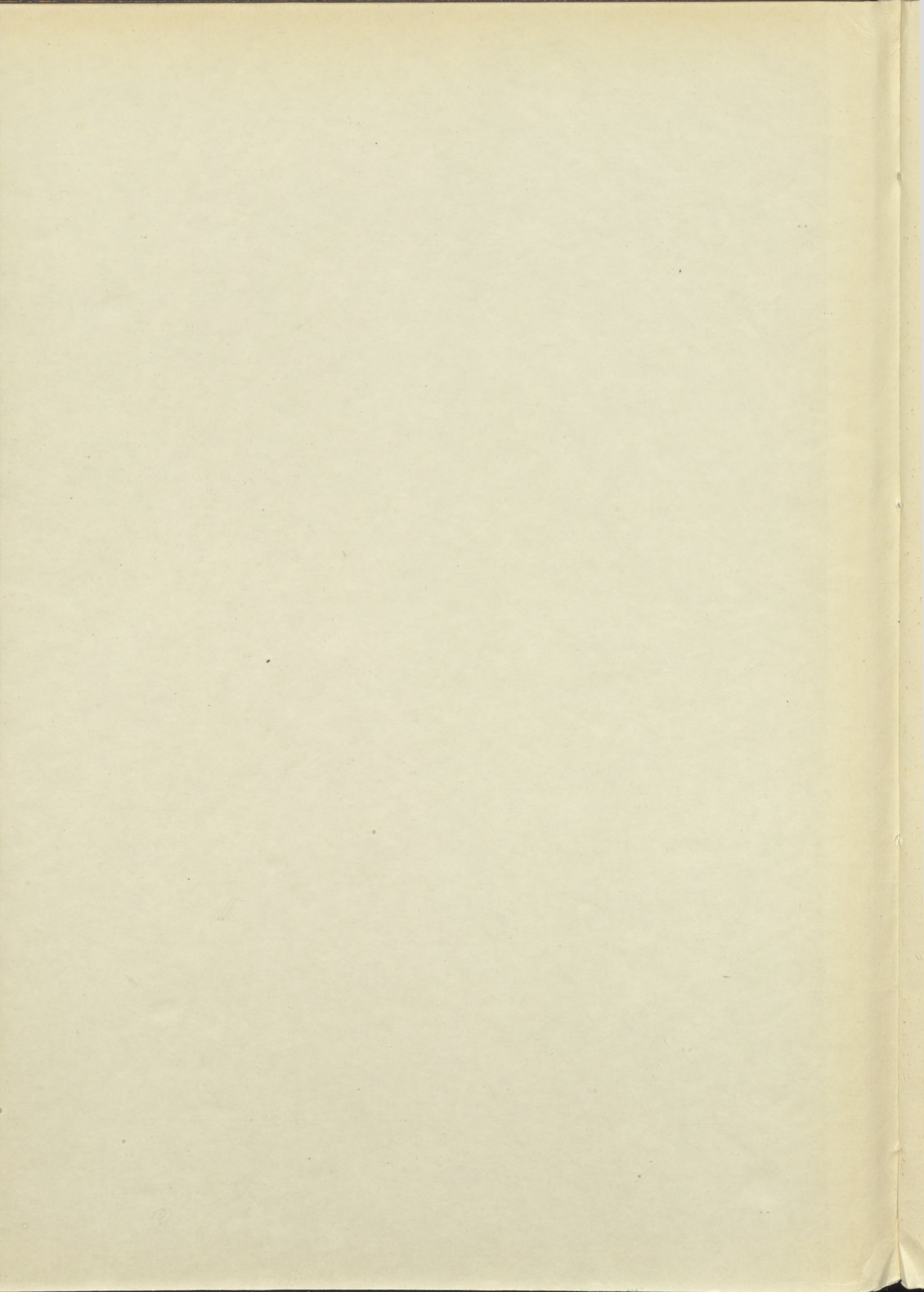
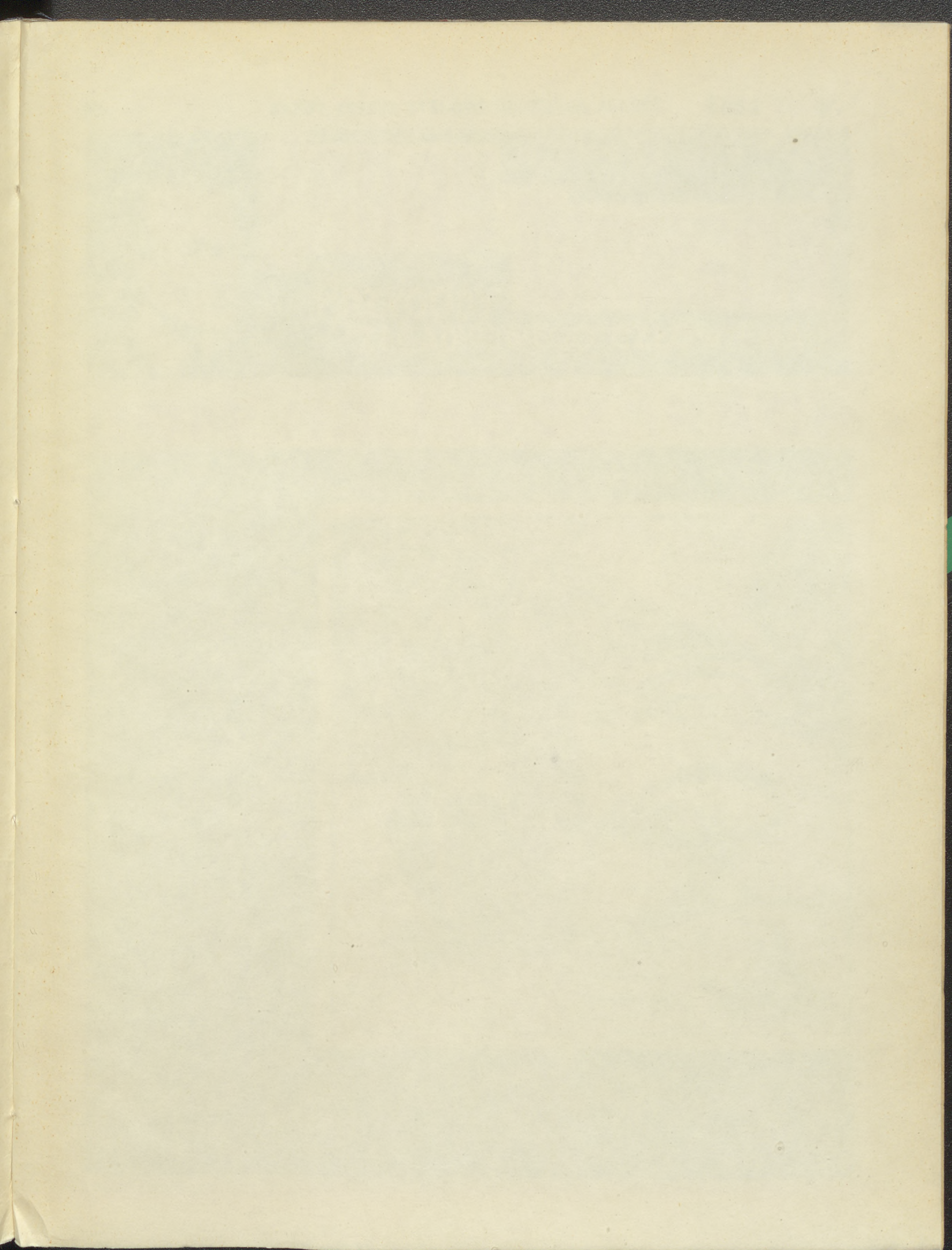


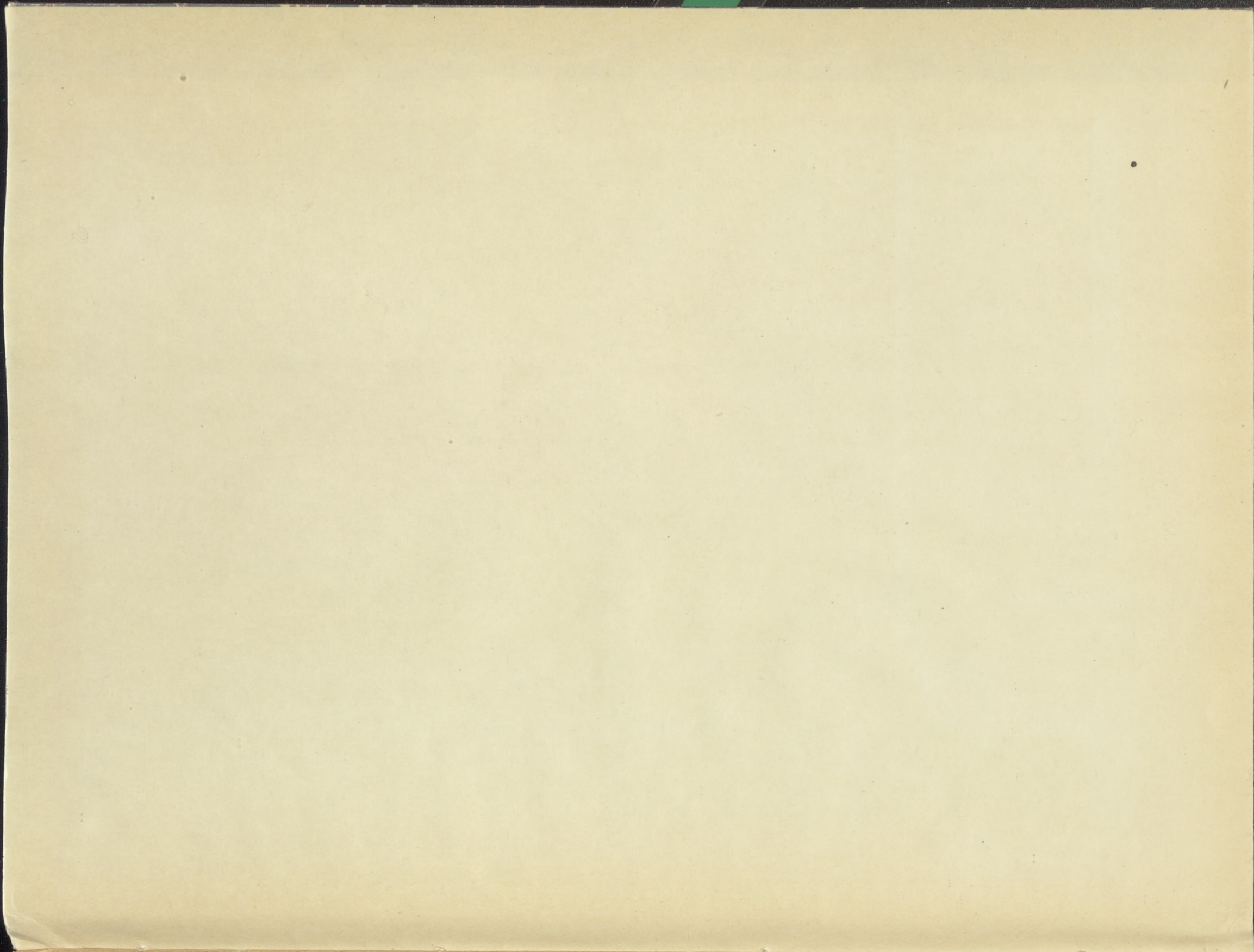
623405

4









III - 623.405/4

Nr. 4.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## DOM NA MOCZARACH





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## Dom na moczarach

Cztery kilometry murów.

„Mister Harry Dickson, Esq.  
London  
Baker Street

„Wielce Szanowny Mistrzu!

„Błagam Pana o pomoc dla siebie i dla całej naszej rodziny. Przekleństwo ciąży nad nami wszystkimi i nad domem naszego ojca. Daremnie staramy wyzwolić się z pod tego brzemienia. Tylko Pan jeden będzie w stanie rozwiązać straszną zagadkę i wybawić nas wszystkich od grożącej nam niechybnej zagłady.

Robert Riderswood“.

Harry Dickson otrzymał ten list przed dwoma dniami. Był akurat wolny i zamierzał zabrać dobrze zasłużonego odpoczynku. List ten skomplikował mu jednak wszystkie plany, tak, że zamierzony odpoczynek musiał zredukować do 2 zaledwie dni. Ale Harry Dickson był człowiekiem żelaznego zdrowia. Zwykł on nawet twierdzić, że zbyt długi odpoczynek męczy go i wyczerpuje więcej, niż najcięższa praca.

To też Dickson załatwił najpilniejsze sprawy, spakował walizkę i wyruszył do Norwich.

List datowany był z miejscowości Bolton, posiadłości Riderswoodów, położonej w samym sercu najbardziej bagiennej i najmniej znanej okolicy Wash, krainy jezior, błot i moczarów.

Kiedy Dickson znalazł się przed dworcem w Norwich, wyjął z portfela list i raz jeszcze go przeczytał. Chciał się upewnić, że nadawca nazywa się Riderswood i sprawdzić jego adres.

Dickson skinął na szofera.

— Pojedziemy do Bolton!

— Yes, sir.

Wóz ruszył.

Riderswoodowie należeli do największych właścicieli ziemskich w tych stronach i dlatego szofer powinien ich znać. Zagadnięty przez detektywa, gwałtownie odwrócił się i spojrzał na Dicksona szeroko rozwartymi oczami:

— Co? Jedzie pan do Riderswoodów? Czy to możliwe?

— Dlaczegożby to miało być niemożliwe? Dla czego to pana tak zdumiewa?

Szofer zdjął kaszkiet:

— Widzi pan? — rzekł. — Mam siwe włosy. Mam już pięćdziesiątkę. Od trzydziestu lat jestem szoferem w tych stronach. I jeszcze nigdy nie wiozłem nikogo do Riderswoodów. Przecież wszyscy dobrze wiedzą że stary lord Riderswood nie przyjmuje nikogo w swym ponurym domu.

Harry Dickson nie zdradził się, jak dalece ta wiadomość go zainteresowała.

— Kiedyś musi się wszystko zacząć... Jestem może pierwszym, ale chyba nie ostatnim gościem w tym domu. Jedźmy! Narazie jednak zatrzymamy się w zajeździe w Bolton, tam zostawię rzeszy, a potem pojedziemy dalej pod sam dom lorda.

Szofer skinął głową i dodał, tym razem z uśmiechem:

— Domu i tak pan nie zobaczy, sir. Tylko płot. Ale takiego płotu chyba nie ma drugiego na świecie.

Wóz mknął szybko po asfaltowej drodze. Dickson zastanowił się nad treścią listu, zestawiał ją z informacjami szofera i rzekł do siebie:

— Zgadza się...

Przez resztę drogi drzemał. Umiał spać, kiedy tylko zapragnął, spał jednak czujnie jak zając.

— Hallo, sir!

Dickson ocknął się.

— Tutaj zaczyna się mur. To warto zobaczyć. Pojadę wolniej.

Dickson nie wierzył własnym oczom. Mur był wysoki na jakieś osiem metrów, zupełnie gładki, koloru brudno-szarego. Przypominał mury więzienia Sante na bulwarach Arago w Paryżu.

— Stary lord Riderswood, ojciec obecnego właściciela, wydał na budowę tego muru prawie cały swój majątek. To dziwacy z dziada pradziada. Dzisiejszy właściciel nie jest lepszy.

Szofer był niemal dumny, że może przybyszowi pokazać tę największą osobliwość okolicy.

— Cztery kilometry takiego muru! Cztery kilometry sir! I tylko jedno małe wejście. Tak się zamurowali!

Dickson był szczerze zdziwiony. Mimo to, wolał jechać trochę szybciej.

Zajechali przed masywne wrota, okute blachą. Wyglądały jak wjazd do staroświeckiej twierdzy.

Dickson szukał właśnie dzwonka, gdy nagle otworzyła się mała furtka i wyrzał z niej młody jeszcze człowiek, zadyszany i jakby trochę wylekniony.

— Czy to pan Dickson? Tak poznaję pana. Znam pana z tysiącznych fotografii w czasopiśmie. Jestem Robert Riderswood. Nie miałem odwagi wyjść panu na spotkanie i wyglądałem pana z wysokiego drzewa.

— Jak na specjalne zaproszenie — wcale niezły sposób oczekiwania gościa, — zauważył detektyw.

— Napisałem do pana w chwili silnej depresji i śmiertelnego lęku. Ale, jeśli mam być szczerzy, to przyznam, że gdy tylko list odszedł, żałowałem, że go wogóle wysłałem. Miałem nawet nadzieję, że nie da pan posłuchu memu wezwaniu. Skoro jednak już pan tutaj jest, niech się co... chce... dzieje!...

Robert Riderswood był wylekniony. Głowę miał nieproporcjonalnie wielką, w stosunku do tułowia, nieco zgarbionego i cherlawego, dłonie duże kościste, ale rysy tego człowieka, wyglądającego na trzydzieści parę lat, były regularne. Ubrany był bardzo niedbale.

— Jeszcze nie pomyślałem nad tym, pod jakim pretekstem wprowadzić pana do domu. Ojciec mój nie przyjmuje nikogo. A moi dwaj starsi bracia — Hugo i Michel — mają więcej do powiedzenia ode mnie i też gości nie lubią. Jestem do prawdy w kłopotach.

— Powie pan ojcu, że spotkaliśmy się na drodze...

— Ale nie wspomni pan o moim liście — wtrącił z obawą najmłodszy Riderswood.

Może pan być spokojny....

— Dziękuję! Jest pan prawdziwym gentlemanem. Jest pan równocześnie tak doskonałym detektywem, że znajdzie napewno rozwiązanie strasznej zagadki. Jestem pewien, że będzie pan naszym zbawcą. Powie pan ojcu i braciom, że spotkaliśmy się przed domem i że pan sam tutaj zmierzał. Znajdzie pan jakiś pretekst, bo ojciec napewno będzie szczegółowo o to pytał.

Robert Riderswood pchnął furtkę.

Dickson niemal nie krzyknął ze zdumienia. Znaleźli się bowiem nie w parku, ale w prawdziwej dżungli, która otaczała dom mieszkalny.

— Czy nikt nie pielęgnuje tego parku?

— Tak, ale dawniej... Dzisiaj las ten jest jakby drugim murem, okalającym dom. Dalej jest już lepiej i luźniej...

Szli przez całe pokłady zbutwiałych liści i zmurszałych gałęzi i znaleźli się nagle na wielkim jak łąka trawniku. Pasło się tu kilka owiec.

W głębi widać już było budynek. Przypominał on nieco zamek. Był bez stylu, ale za to zdecydowanie brzydki i ponury.

— Oto nasz dom. Teraz chodzi o to, aby pan coś odpowiedniego wymyślił... Ojciec już pana dojrzał i zaraz tutaj będzie. Gotów pana skrzyknąć i wyprosić.

Robert opuścił głowę i zamilkł. W wielkich drzwiach z masywnego dębu ukazał się, już prawie siedziwy, mężczyzna, o wzroście olbrzyma, o długiej, srebrnej brodzie. Lord Riderswood przyglądał się detektywowi z wyraźną niechęcią.

— Czy mam zaszczyt z lordem Riderswood of Valey?

— To ja jestem. Czego pan sobie życzy? Kim pan jest?

— Jestem Harry Dickson. Czy zna mnie pan choćby ze słyszenia, mylordzie?

— Owszem. Wiem, że jest pan znanym detektywem. Ale czego pan sobie życzy w moim domu?

— Sprowadza mnie tutaj sprawa, nie z panem nie mająca wspólnego. Czy zechce mnie pan wysłuchać na osobności?...

Dickson mówił tonem bardzo pewnym siebie. Lord wskazał mu drogę, obrzucając Roberta spojrzeniem, pełnym gniewu.

— Spotkałem tego pana na drodze — rzekł młody Riderswood.

— Nie pytam o nic i proszę się nie odzywać — zgromił lord syna.

Detektyw i pan domu znaleźli się w bibliotece.

— Słucham pana.

— Czy przeglądał pan, mylordzie, kiedykolwiek mapę sztabu generalnego? Mapę błot i moczarów okręgu Wash?

— Dajmy na to, że ją przeglądałem. Cóż z tego?

— Stwierdził pan zapewne, że ta mapa jest bardzo niedokładna, że brak w niej wielu szczegółów. Występuję w imieniu władz wojskowych. Interesy kraju wymagają, aby ta mapa została skorygowana i to jak najprędzej, chodzi zwłaszcza o okolice położone w bezpośrednim sąsiedztwie pana posiadłości.

— Czego pan zatem ode mnie żąda?

— Nic. Proszę tylko o zezwolenie na kilkudniowy pobyt w tej posiadłości.

— Nikt z obcych jeszcze tutaj nie mieszkał. Ale tam, gdzie chodzi o obronność naszego kraju, muszę ustąpić. Gdzie są pańskie rzeczy?

— W oberży pod „Dwoma Krzyżami“ w Bolton.

— Ogrodnik Spames pojedzie po nie. Od tej chwili jest pan moim gościem.

— Dziękuję panu, mylordzie. A oto moje papiery z policji londyńskiej.

— To zbyteczne. Znam pana z fotografii. Zaraz panu przygotują pokój. Jadamy kolację o siódmej. Kładziemy się wcześniej spać. Podczas kolacji przedstawię pana reszcie mej rodziny.

Lord pociągnął za sznur staroświeckiego dzwonka. Po chwili zjawił się służący, błądy i wynędzniały.

— Topkins — rzekł lord. — Ten pan pozostanie u nas przez pewien czas. Zaprowadzisz pana do różowego pokoju i będziesz do jego dyspozycji.

Topkins otworzył ze zdumienia usta. Ale skłonił się nisko i rzekł:

— Tak jest, mylordzie! Zechce pan pójść za mną... — zwrócił się z kolei do Dicksona.

Detektyw, poprzedzany przez służbę, minął kilka pustych i mrocznych pokoi, przeszedł przez dwa długie korytarze i wszedł na niskie piętro.

Różowy pokój mieścił się w samym krańcu lewego skrzydła. Przez okno widać było duży staw, zarosły u brzegów sitowiem i tatarakiem. Na wodzie rosły piękne białe nenufary.

— Obawiam się — rzekł oglądając się trwożnie Topkins — że będą pana w nocy niepokoić żaby, których jest tu bardzo dużo. Ale pokój jest wy-

godny i dość wysoko od ziemi. Zaraz napalę w piecu.

— Dziękuję Topkins. Mam nadzieję, że będziemy ze siebie nawzajem zadowoleni.

Biała twarz lokaja rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia:

— Będę się starał służyć panu w miarę swych sił. Jestem bardzo rad, że nareszcie ktoś do nas zawitał.

— Zapali pan papierosa?

— Papierosa?... Bardzo chętnie. Ale schowam go sobie i wypalę wieczorem, kiedy inni nie będą widzieli. Gotowi mi zrobić krzywdę.

— Co za inni? Służba?

— Tak jest, sir. Ale zechce pan nikomu o tym nie mówić.

— Możecie liczyć na moją dyskrecję, Topkins. Wieczorem, gdy przyjdziecie do mego pokoju, wypijemy sobie po kieliszku whisky. Zgoda?

Biedny Topkins był tak wruszony, że Dickson sądził, iż nieborak lada chwila rozplacze się. Zahukany lokaj lorda Riderswooda nic jednak nie odparł, tylko głęboko skłonił się.

Dickson ogarnął się trochę, a że do kolacji było jeszcze z pół godziny czasu, zasiadł w fotelu przed oknem, z fajką, nabitą ulubionym tytoniem marki „Navy Cut“...

Staw pod oknem, wąski jak rzeka, rozlewał się daleko na wschód i zachód, tworząc, jak okiem sięgnąć, jakieś dziwne rozlewiska, wyspy i zatoki.

Park wokół nie był, mimo wszystko, tak bardzo zaniedbany, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Detektyw dojrzał nawet bielące się w oddali marmurowe posągi.

Wokół panowała cisza. Dickson począł poddawać się nastrojowi, jaki wytwarzały te wilgotne mury, oblewane dookoła stawem, cisza i ten ponury dom; czuł jednocześnie, że za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica, rad był równocześnie, iż znalazł się w samym jej sednie. Szykował się do przygód, gotował się na czekające go niebezpieczeństwa, jak myśliwy, który wyrusza na łowy.

Nagle...

Dickson w pierwszej chwili sądził, że to ptak jakiś wydzwonił nutę cichutką i wysoką. Ale ton wzmagał się, stawał się coraz bardziej ludzki, coraz bardziej... kobiecy. Po chwili w ciszę wód i zarośli, w martwą ponurego domu, wpłynął jakby promień słoneczny. Przeciagłą nutą ozwał się wspaniały sopran, rozśpiewał się potem w krótką melodię, pełną nieopisaną tęsknoty, wzbił się wysoko jak ptak pod niebiosa i... zamilkł nagle, jakby kto nożem odciął.

Dickson poprawił krawat i odłożył fajkę. Rozległ się gong, wzywający na kolację.

## Dziwna noc.

Sala jadalna była rzęsiście oświetlona. Bronzy, wspaniałe świeczniki i kandelabry, wszystko świadczyło o bogactwie, ale i o złym smaku gospodarza.

— Miss Luiza Addison — moja siostrzenica — rozpoczął prezentację lord. — Miss Sophy Winsham — jej dama do towarzystwa... Mój starszy syn Hugo... Mój syn Michel... Z Robertem już się panowie znają...

Spojrzenia skierowane ku Dicksonowi były więcej ciekawe niż przychylnie. Miss Addison nie raczyła nań nawet spojrzeć. Była to ładna dziewczyna, o chorobliwym wyglądzie. Jedynie jej guwer-

nantka uśmiechnęła się do detektywa wymuszonym uśmiechem starszych panien.

Przyjęcie było bardzo wystawne, za stołem panował jednak chłód.

Uwadze Dicksona nie uszedł fakt, że podczas gdy gospodarz zadysponował na deser wino — wszyscy spojrzeli po sobie zdumieni. Widać cała rodzina hołdowała absolutnej abstynencji.

Lord powiadomił już swych synów, że Dickson zamierza spędzić kilka dni w posiadłości na polowaniu.

— Nie będzie pan nawet potrzebował wydalać się poza nasz mur, aby ułokować kilka celnych dubletów — rzekł uprzejmie Hugo Riderswood. — Wystarczy wyjść z domu, aby natrafić na całe roje ptactwa błotnego, a trochę dalej nie brak i bażantów, kuropatw, a królików jest aż za wiele. Wprawdzie polowanie jest dopiero częściowo otwarte i na niektórych zwierzyńcu trwa jeszcze czas ochronny, ale tutaj, w naszym obrębie, za murem, możemy nie stosować się do ogólnych przepisów.

Rozmowa potoczyła się na temat polowania. Hugo Riderswood zdradził w tej dziedzinie dużą znajomość rzeczy.

— Czy jest pan myśliwym? — zagadnął go Dickson.

— Ja?... — Najstarszy syn lorda był jakby zaskoczony. — Ja myśliwym? O nie! Brzydzą się tym. Przeraża mnie krew!

Michel wzruszył ramionami wyraźnie niezadowolony.

— Mój brat jest przeczulony. Przesadza mocno...

— Może zatem w panu znajdę towarzysza?

— Nie, niestety. I ja nie jestem zwolennikiem przelewu krwi, jak zresztą wszyscy w naszej rodzinie.

Dicksona wprawiły te słowa w mocne zdziwienie:

— Okolice obfitują w zwierzyńcu; są prawdziwym rajem myśliwych, a nikt z państwa nie bierze strzelby na ramię i nie idzie w las?... Czy znajdzie się przynajmniej jakiś pies dla mnie?

Pytanie to wywołało znów niezwykle efekt.

Wargi Hugona Riderswooda poczęły drżeć, jakby go coś mocno zatrwożyło. Michel zaś prawie krzyknął:

— Psa? — potem opanował się i rzekł już prawie cicho:

— Psa pan u nas nie znajdzie.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał lord:

— Musi pan nam darować. Psów u nas rzeczywiście nie ma. Nie lubimy psów! Soames panu pomoże. Jest tutaj tyle zwierzyńcu, że pies jest zbędny.

Nastrój przy stole, od początku ciężki, teraz stał się wręcz przytłaczający. Kolacja zakończyła się bardzo szybko.

— Mam nadzieję, że uda się pan zaraz na spoczynek — rzekł lord, wstając od stołu. U nas nikt w nocy długo nie przesiaduje. Dobranoc panu!

Słowa te brzmiały jak rozkaz. Miss Addison, gdy jej Dickson życzył dobrej nocy, skinęła w jego stronę głową prawie niegrzecznie.

W pokoju swym zastał detektyw wesoło już trzaskający ogień na kominku. Zapalił fajkę i zasiadł w fotelu przy oknie. Od wody wionęło wilgocią i chłodem. Była cisza.

Nagle ktoś lekko zapukał do drzwi. Po chwili ukazała się w nich głowa Topkinsa.



— Jestem — rzekł lokaj zażenowany.

— Whisky już czeka na was, Topkins — rzekł Dickson, nalewając dwa kieliszki.

Topkinsowi zaśmiały się oczy:

— To się przynajmniej nazywa życie!

— Czyżbyście nigdy nie pili?

— Nigdy! Pan nam surowo zakazuje. Nie mogliśmy się nadziwić, że dziś w ogóle było wino.

— Jeszcze kieliszek?

— Jest pan bardzo dobry — rzekł Topkins, wychylając z poządlivością drugi kieliszek. — Czy szanowny pan zostaje u nas długo?

— Jeszcze sam nie wiem. Będzie to zależało od tego, jak mi się tutaj uda polowanie.

— Czy naprawdę przybył pan tutaj po to aby polować?

— Czy to takie nieprawdopodobne?

— Nie, tego nie powiem, ale bardzo bym chciał, aby tak było...

— A to czemu? Niech pan pije, mam jeszcze jedną butelkę i będę mógł nabyć nowy zapas w cberży pod „Dwoma Krzyżami“ w Bolton.

— To bardzo dobry zajazd. Tylko, że nam nie wolno tam chodzić.

— Kto wam zabrania?

— Gospodarz, a Soames nas pilnuje.

— Musi mieć twardą rękę ten Soames, nieprawda? Chłop z niego rosty i widać silny.

Topkins obejrzał się trwoźnie.

— Aby się tylko nie dowiedział, że tutaj byłem. Powiem panu więcej — dodał szeptem — nam nie wolno w ogóle wychodzić poza mur...

— To bardzo dziwne. Nie wierzycie mi, że przyjechałem na polowanie, choć tu tyle ptactwa wodnego, nie wolno wam wychodzić, nie wolno nikogo przyjmować, nie wolno pić... Same tajemnice. Nie moglibyście mi, Topkins, choć jednej z nich wyjaśnić?...

Topkins zbladł. Skulił się, jakby oczekiwał jakiegoś ciosu, na palcach, z przerażeniem w oczach podszedł do Dicksona i wyszeptał:

— Nie mogę tego powiedzieć, gdyż mi zbawienie mile. I niech pan tutaj o to nikogo nie pyta. Bo to jest śmiertelna tajemnica. Tutaj ma każdy śmiertelną tajemnicę... A jeżeli pan naprawdę przyjechał, aby polować, a nie po to, żeby się starać o miss Luizę — to dobrze... To bardzo dobrze... Topkins wymknął się z pokoju.

Dickson szykował się do snu. Starczył mu jeden rzut oka na walizkę, po którą właśnie sięgnął, aby stwierdzić, że ktoś poddał jej zawartość dokładnej rewizji, nie ujawniając nawet wielkiego starania, aby ślady tych oględzin ukryć.

Któż mógł się interesować tym, co Dickson miał w swej walizce? Topkins i Soames byli zajęci przy stole. Więcej służby męskiej nie było. Kucharka i pokojówka pracowały nad przygotowaniem kolacji w kuchni. Nie inaczej, tylko ktoś z rodziny lorda, jeśli nie sam lord...

Martwą ciszę zakłóciło teraz jakby ostre chrobotanie pod murem, połączone z łomotem i parskaniem. Z napiętymi do ostateczności nerwami Dickson przez chwilę stał nieruchomo pośrodku pokoju, pragnąc ustalić charakter tych odgłosów i kierunek, skąd dochodziły.

Nie było najmniejszej wątpliwości: ktoś kręcił się pod oknem jego pokoju. Ktoś jakby podkopywał ziemię...

Owe dziwne odgłosy stały się po chwili wyraźniejsze. Dickson skrył się za firanką i ustawił

nał lampę w ten sposób, aby mógł widzieć, co się dzieje zewnątrz, samemu będąc niewidzialnym.

Tymczasem waziatki sierp księżycy wyłonił się z za chmur, rzucając białe światło na gęstwinę parku, na uśpione wody i nadbrzeżną zieleń. Dickson wychylił się z lekka przez okno, zachowując jak największą ostrożność.

Natychmiast jednak cofnął się w głąb pokoju, ujrzał bowiem dwoje gorejących ślepi, pysk wielki, jak paszcza tygrysa, a równocześnie usłyszał wściekłe warczenie, a potem klapanie zębami. Skoczył ku niemu olbrzymi rudy pies. Nie mógł się dostać do okien Dicksona, ale czując nowego przybysza, obchodził jego okno, kopał, węszył i rył.

Dickson nawoływał psa, usiłując zdobyć sobie jego sympatię. Efekt był jednak zgoła inny, gdyż pod oknem rozległo się już nie warczenie, ale wściekłe ujadanie.

Dicksona przeszedł dreszcz.

— Nie życzę nikomu spotkania z takim pieskiem — rzekł do siebie. — I lord Riderswood twierdzi, że nie ma tu psów... W każdym razie trzeba będzie uważać, żeby rewolwer był zawsze naładowany.

Budzik podróżny wskazywał już jedenastą. Dickson położył się. Po chwili zasnął.

★

Obudził go lekki powiew chłodnego powietrza. A przecież pamiętał doskonale, że okno dokładnie zamknął. Dickson, starając się nie czynić najmniejszego szmeru, siadł na posłaniu.

Słyszał jak wskutek przeciągu poruszały się firanki i rolety. Niestety, rolety dobrze zasłonięte sprawiały, że w pokoju panowały całkowite, nieprzeniknione ciemności.

Do uszu detektywa dobiegły jednak jakieś kroki. Były lekkie. Stopy, obute w pantofle, nie wydawały prawie wcale szmeru na puszystym dywanie...

Jakaś ręka przestawiała coś na marmurowej konsoli. Dickson więcej to czuł, niż słyszał. Po chwili rozległy się znów kroki, już bardzo bliskie łóżka. Detektyw wyciągnął rękę. I nagle poczuł, że schwycił czyjeś nagię, pełne i duże ramie.

Ale w tej samej chwili stała się rzecz tak niesamowita, że zawiodły nawet stalowe nerwy Dicksona.

W pokoju rozległo się przeraźliwe wycie. W następnej chwili czyjaś ręka zdarła firanki oraz rolety z gzymsów i ktoś wyskoczył przez okno.

Jednocześnie ustała ciemność. Księżyc oświetlił pokój. Tymczasem cały dom wypełnił się wrzawą. Detektyw usłyszał głosy obu braci i samego lorda.

— Co się stało? — wołał lord.

Ktoś zapukał do drzwi detektywa.

Hugo i Michel, w piżamach, wprost z łóżek przybiegli ze świecami w rękach.

— Czy nic się panu nie stało?... Czy nie panu nie jest?

— Nie, nic mi się nie stało. Nagły podmuch wiatru wybił szybę w pokoju — łął Dickson jak najęty — i powstał piekielny hałas. I zawył jakiś pies...

— I nic pan nie widział?

— Nie. Cóż miałbym widzieć? Czy panowie mają jakieś podejrzenia?

Bracia spojrzeli po sobie, porozumiewając się oczami.

— Nie, nie... I my o niczym nie wiemy... Bardzo pana przepraszamy.

Nadszedł sam lord. Był rad, że gościowi nie się nie stało. Usunął się szybko, jakby pragnął najszybciej zlikwidować całe zajście. Odszedł również Hugo Riderswood.

Dickson pozostał sam na sam z Michelelem.

— Pójdzie pan spać do mego pokoju — zaproponował syn gospodarza.

— Nie! Pozostanę tutaj! Jest już zresztą po trzeciej. Spać i tak nie będę. Jeśli mi pan chce dotrzymać towarzystwa, to najlepiej będzie, gdy zejdziemy na dół do jadalni i napijemy się koniaku.

— Koniaku?... Ojciec nie pozwala nam pić. Ale już pewnie śpi... Pójdę z panem.

Młody Riderswood wypił dwa kieliszki. Siedział za stołem w odpiętej u szyi piżamie.

Dickson zauważył, że obaj bracia nosili wysokie, dziwne kroju kołnierze, zasłaniające im całkowicie szyję. Teraz na obnażonej piersi i szyi Riderswooda ujrzał detektyw głębokie i straszne blizny.

— Zastanawiam się — rzekł Dickson nagle — z jaką bestią pan walczył, że nosi pan po tej walce tak przerażające blizny.

Michel Riderswood zerwał się, nagłym ruchem zasłonił stygmaty na piersiach i, blade jak płótno, błagał detektywa:

— Niech pan nie mówi nikomu, że to widział. Przepadłbym bezapelacyjnie. Niech już mnie nie uratowało!

— Czy to pies? — Dickson przypomniał sobie psa z pod swojego okna.

Riderswood zamamlał ręce:

— Niech mnie pan o nic nie pyta. Zaklinam pana! Gdy pan do nas przyjechał — miałem w pierwszej chwili szaleńczą wprost nadzieję, że nas pan wyratuje. Ale teraz... Teraz obawiam się, że będzie pan naszą zgubą i że sam tutaj znajdzie pan swą zgubę...

— Czy nie mógłbym panu być w czymś pomocny?

— Nie, przynajmniej w tej chwili napewno nie... Niech mnie pan więcej nie częstuje koniakiem. Stracę resztę rozsądku, jaki mam.

— Jak pan sobie życzy... Nie potrafię przecież zmusić pana, aby miał do mnie zaufanie. Czy jednak wierzy pan, aby wiatr, choćby najsilniejszy, zdolny był rozbić szybę w moim oknie i wyrwać firanki? A wszyscy uwierzyliście, jakby wam zależało na byle jakim wykręcie...

— Nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Ale niech mnie pan i o to nie pyta.

— Czy ktoś jest w tym domu w niebezpieczeństwie?

— Na razie nikt.

— Dlaczego „na razie”? Musi mi pan na to odpowiedzieć.

— Bo nie ma nikogo, kto by się starał o rękę miss Addison.

Dickson uniósł się z fotelu:

— Czyżby zazdrość była źródłem tego wszystkiego, co się w tym domu dzieje?

Michel zaprzeczył z całą energią:

— O nie, panie! Wcale nie! Ale niech pan wie o jednym: tutaj, kto na nią spojrzy — umiera. To nie zawiść, to przekleństwo!... — Powiedziałem panu już za dużo... Dałem panu dowód wielkiego zaufania.

— Jeszcze jedno słowo: czy w tym domu ludzie już umierali w sposób niezwykle?

— Tak jest. Moi dwaj bracia i ich przyjaciel, który ją pokochał od pierwszego wejrzenia.

— A pan sam?

Detektyw wskazał na blizny, widniejące na piersi Michela...

— Ja?... Nie. Mnie chyba nic nie grozi. Ja chcę tylko żyć. Nie pragnę nic więcej.

— Michelu — rzekł Dickson. — Przybyłem tutaj jako gość, ale zostanę jako detektyw. Oświadczam to panu uroczyście.

— Wiem... To Robert pana sprowadził. Robert jest z nas wszystkich najbardziej przewrotny. I zdaje mi się, że kocha miss Addison.

## Więzień.

Mimo owej nocy, pełnej wypadków, dni, które po niej nastąpiły, były spokojne i nawet monotonne. Dickson polował, a obfitość płaćstwa była tak wielka, że kucharka nie wiedziała, co zrobić z myśliwskimi trofeami detektywa.

Piątego dnia tych udanych łowów, gdy Solmes wracał stale obładowany najrozmaitszą dżdżownicą, detektyw zagadnął lorda, czy nie mógłby mu wskazać kogoś z sąsiedztwa, komu możnaby zaofiarować kilka upolowanych sztuk.

Starzec zamyslił się.

— Jesteśmy wielkimi samotnikami. Przekonał się pan o tym już doskonale. Jedynym człowiekiem w okolicy, z którym utrzymujemy stosunki, jest p. Wardleton, zamieszkały stąd o trzy mile, w bardzo lichym domku, na uboczu od Bolton. Możeby pan właśnie jemu coś zaofiarował...

— Miałem i tak zamiar pojechać do Bolton, aby poczynić trochę zakupów — odparł Dickson — muszę wysłać również parę listów.

Dickson, mówiąc o listach, miał przede wszystkim na myśli swego ucznia Toma Willsa.

Równocześnie spostrzegł, że gdy padło nazwisko Wardletona wszyscy jakby drgnęli, a Michel Riderswood spojrzął na gościa ze źle ukrytym lękiem.

Od owego spotkania w salonie o świcie — spotykali się jedynie podczas posiłków i nie zamienili na osobności ani słowa. Dickson przeczuwał jednak, że młody Riderswood pragnie z nim pomówić i nie omylił się. Pod wieczór Michel zapukał do drzwi tego pokoju.

— Jedzie pan do Bolton?

— Jak pan słyszał.

— Do Wardletona?

— Tak. Zawiozę mu kilka sztuk z tego co upolowałem. Pozdrowię go w imieniu ojca pana.

Michel gorzko zaśmiał się.

— Wardleton i tak nie uwierzy panu. Niech mu pan lepiej od razu powie, że to prezenty od pana.

— Dlaczego miałby mi nie uwierzyć? Cóż to za człowiek?

Młody Riderswood nie odpowiedział.

— Michel — rzekł Dickson, kładąc mu obie ręce na ramionach. — Przed paru dniami obdarzył mnie pan swym zaufaniem. Czemu mi pan go teraz odmawia?...

Po raz drugi w ciągu tego dnia na twarzy młodszego Riderswooda odmalowało się śmiertelne przerażenie.

— Dobrze. W miarę możliwości będę z panem szczery. Chcę pana ratować, ale nie mogę tego

uczynić kosztem swego własnego życia... Niech mnie pan zrozumie... Niech mnie pan nie potępia... I zagryzł wargi, a z oczu jego popłynęły łzy.

— Niech się pan uspokoi. Wierzę, że powie mi pan tyle, ile tylko będzie pan mógł, że będzie pan starał się ukryć przede mną jak najinniej...

Michel opanował się i nagle, jakby zupełnie bez związku z tym, o czym mówili poprzednio, rzucił pytanie:

— Czy pan... rozmawiał z miss Addison?

Dicksona pytanie to szczerze zagniewało.

— Cóż to za dziwny dom!... Czy koniecznie muszę się zakochać w tej milczącej i, moim zdaniem, zupełnie bezpodstawnie dumnej dziewczynie? Wie pan dobrze, że nie zamieniłem z nią ani słowa...

— Czemu zatem posyłają pana do Wardletona?...

— Nikt mnie nie posyła. Sam pytałem lorda o to, komu mógłbym zrobić prezent z moich trofeów. Czy Wardleton ma coś wspólnego z miss Luizą?

— Cicho!... Na litość boską, niech pan zamilknie!... Oni czekali tylko na tę okazję — to rzecz pewna...

Dickson nagle jakby zrozumiał niejedno:

— Czy dwaj bracia pańscy i ten ich przyjaciel, czy wszyscy zmarli w zamku?...

Michel cofnął się o krok.

— W zamku? Nigdy! Niech pan nie zapomina, że my lękamy się panicznie krwi.

— Więc kim jest ów Wardleton?

— Nie wiem. Ale wiem napewno, że trzeba go się lękać. I ostrzegam pana przed nim. Niech pan jutro, znalazłszy się na wolności, nie jedzie do Wardletona, ale ucieka. Niech pan wraca do miasta, do Londynu.

Dicksona uderzyło jedno słowo:

— Na wolności?... Cóż to ma znaczyć. Czyżbym był więźniem tutaj?

— Jest pan nim. Nie dają tego panu odczuć, ale gdyby próbował pan wydostać się stąd bez woli ojca — przekonałby się pan, że to jest niemożliwe. Soames ma panu towarzyszyć. Bez niego ojciec pana nie wypuści. Niech go pan zaprowadzi do oberży, upije rumem i wtedy będzie się pan mógł od niego uwolnić.

— Czy ojciec pański nie domyśla się, że dałbym sobie radę z tym Soamesem?...

— Owszem. Liczy nawet na to i właśnie w ten sposób chce panu dać możliwość ratunku.

— Któż tu tak dybie na moje życie? I za co?

— Czy pan doprawdy nie myśli o miss Addison?

— Przecież już raz panu powiedziałem, że ani mi ona w głowie.

— I nie jest pan w niej zakochany?

Dickson był do najwyższego stopnia zirytowany.

— Daj mi pan wreszcie spokój z tą księżniczką bagien! Macie jakąś manię prześladowczą na tym punkcie!

— W takim razie — rzekł Michel, przybierając pozę człowieka, który występuje z miążdżącym argumentem — w takim razie, co znaczy pukiel włosów miss Luizy, znaleziony w pańskiej walizce?

Detektyw nie wierzył własnym uszom. Sprawy doprawdy komplikowały się.

— A więc już po raz drugi ktoś przewraca w moich rzeczach. Niech mnie pan posłucha: raz ktoś

otwierał moją walizkę, aby włożyć w nią pukle tej damy, drugi zaś raz walizka została otwarta potę, aby z niej owe pukle wydostać. Znalazł je ten, któremu je włożył.

— Co pan mówi?...

— Ręcę panu, że ja o tych włosach nie wiem, i gdybym nawet był śmiertelnie zakochany w tej młodej osobie, nigdybym się na takie żakowskie pomysły nie zdobył, aby aż jej włosy przechowywać... Skądbym je zresztą miał wziąć?... Nie inaczej, tylko jest ktoś, kto chce tę panią skompromitować...

— Myli się pan. Nie ocenia pan właściwie sytuacji. To nie ja chce ten ktoś skompromitować, tylko poprostu zgubić pana.

— Kto taki? Czy lord?

— Nie. Lord właśnie dlatego, aby pana uratować, w nadziei, że pan zbiegnie, zgodził się na ową wizytę u Wardletona.

— Dlaczego zatem lord nie powiedział mi wszystkie od początku, dlaczego nikt mi tutaj nie wyłoży całej sprawy?

Młodszy Rinderswood nachmurzył się:

— Bo to jest niemożliwe. Nie-moż-liwe! Rozumie pan?

Dickson przez chwilę spoglądał na swego rozmówcę. Widać było, że więcej nic nie powie.

— Dobranoc panu, Michel. Do jutra.

— Dobranoc. Niech pan nie jedzie do Wardletona. Proszę pana!

— Pomyślę o tym. Chociaż nie należę do ludzi, którzy się zatrzymują w połowie drogi.

Noc minęła spokojnie.

★

Po raz pierwszy znalazł się Dickson w wielkiej sali jadalnej samotny. O zwykłej porze nie zastał przy stole nikogo. Zastawione było tylko jedno nakrycie. Poranną zaś herbatę podał nie Topkins, a Soames.

— Soames, — rzekł detektyw, — przejedziemy się dziś trochę w stronę Bolton.

— Przykro mi bardzo, — rzekł sługa, — ale dziś do Bolton nie pojedziemy. Nie będę mógł panu towarzyszyć, sir.

— Mniejsza o to. Pojadę sam.

— Konie nie będą wolne, sir, a dziczyznę już posłaliśmy p. Wardletonowi.

— Pójdę w takim razie pieszo.

— Lord Riderswood polecił mi, abym pana zaprowadził do pewnego zakątka naszej posiadłości, gdzie jest wiele bekasów. Jego lordowska wysokość życzy panu dobrego polowania.

— Jutro będziemy polować, a dziś pójdę do Bolton.

— Nie, sir.

— Co takiego?

— Powiedziałem: nie!

— Czy mam to rozumieć, że jestem waszym więźniem?

— Jak pan raczy, sir.

— Chciałbym się zobaczyć z lordem.

— To niemożliwe.

— Więc z jednym z jego synów!

— Niestety i tej prośbie nie mogę zadośćuczynić. A teraz, jeśli już pan spożył śniadanie, proszę za mną, sir.

Dickson podniósł się z miejsca i skierował ku stojącej w kącie dwururce.

— Muszę zaznaczyć, że nie będzie pan mógł polować, jeśli nie da słowa honoru, że nie zrobi użytku z broni przeciw nikomu z nas, a zwłaszcza przeciwko swemu lokajowi.

— Przeciwko swemu dozorczy więziennemu, — powiedzmy dla ścisłości.

— Jak pan uważa, sir.

— Wole w tych warunkach wcale nie polować.

— Proszę bardzo. A teraz zechce pan za mną, sir.

— Czy mi nie wolno zostać w zamku?

— Zgadł pan. Od dziś będzie pan zamieszkiwał w pawilonie, w drugim krańcu parku i ja będę miał zaszczyt służyć panu.

— Nie wiele rozumiem z tego wszystkiego, ale narazie ulegam. Czy wiadomo wam wszystkim, że taki czyn nazywa się pozbawieniem wolności i że za to idzie się na parę lat do więzienia.

— Tak jest. Wiem o tym, sir.

— Pewnie się panu Soamesowi już od wielu lat nie zdarzyło, by tyle mówił?...

— Zgadza się, sir.

Nagle Dickson wybuchnął śmiechem:

— A mój rewolwer. Zapomnieliście o tej broni.

— Rewolwer może szanowny pan zatrzymać. Nie ma w nim ani jednego naboju.

— To posunięcie jest klasyczne. Nie przeoczyście niczego.

— Dziękuję bardzo za uznanie

Przeszli przez najdziksza część parku, pod gęsto rosnącymi, ciemnymi drzewami, po wysokich zwałach od wielu lat niesprzatanych liści, i znaleźli się na polanie, niedaleko wody. Na skraju stał domek, na oko wcale miły. Urządzenie było zupełnie wygodne. Dickson był nawet rad z tej zmiany mieszkania, jedynie mocne kraty u okien przypominały mu, że nie jest wolny. Przypominał mu o tym również szcęk zamykanych na klucz drzwi, gdy wychodził przez nie Soames.

Był więźniem..., ale tylko przez chwilę

Dickson wyjął bowiem z kieszeni od kamizelki coś w rodzaju zapalniczki do papierosów. Nacisnął sobie tylko znane miejsce, a otworzyło się wieczko i pod nim ukazał się magazyn z sześciu krami rewolwerowymi. Potem z kieszeni od marynarki do był przymocowane do portfela pióro wieczne. Pokręcił nim u dołu, jakby chciał nabrać atramentu i w pewnej chwili cała ebonitowa pochwa wysunęła się, a w rękę Dicksona znalazła się wąska piłka z najlepszej stali. W innej kieszeni znalazła się śruba mikrometryczna, która zmieniła się w rękach detektywa w doskonałą oprawę dla piłki.

## Tom Wills czuwa.

W dwa dni potem, gdy Harry Dickson dowiedział się z ust Soamesa, że z gościa lorda Riderswooda stał się jego więźniem, w gabinecie detektywa przy Baker Street w Londynie zadzwonił telefon.

Toma Willsa w domu nie było. Do telefonu podeszła z szurgotem pantofli nieoceniona missis Crown, wierna gospodyni Dicksona.

Telefon dzwonił pod nieobecność gospodarza tak często, że pani Crown miała już jedną odpowiedź na te wszystkie dzwonki. I tym razem, gdy tylko podniosła słuchawkę, rzekła:

— Pana Dicksona nie ma w domu.

Chciała już przerwać rozmowę, gdy z tamtej strony odezwał się uprzejmy głos:

— To nic nie szkodzi. Chciałem mówić z panem Willsem

Od dwóch dni spodziewała się missis Crown powrotu swego pracodawcy, Szykowała dla niego ulubiony pudding ze śliwkami. Właśnie teraz była pora, aby już drugi pudding wyjąć z piecyka. Na rozmowy czasu nie było:

— Pana Willsa też w domu nie ma, — rzuciła ostro.

Ale rozmówca nie rezygnował

— Mówi missis Crown, nieprawda? Niech pan będzie w takim razie tak uprzejma i powie panu Willsowi, że mam dla niego ukłony od pana Dicksona.

Ta wiadomość poruszyła wierną gospodynię:

— Jakto?... Dla niego pan ma ukłony, a dla mnie nie?... Czy się pan nie myli?

W słuchawce rozległ się śmiech serdeczny.

— Ukłony są przeznaczone i dla pani. Poprostu pan Dickson kazał mi się pokłonić wszystkim w domu.

Ta odpowiedź zadowoliła gospodynię:

— A, jeżeli tak, to co innego. Dziękuję panu! A jak się nasz pan miewa? I gdzie jest?

— Miewa się bardzo dobrze. Kazał powiedzieć, że zostanie jeszcze tydzień...

— Co? — przerwała gospodyni. — A mój pudding?!

— Pudding? Zjecie go państwo za zdrowie słynnego Harrego Dicksona i za moje.

— A kto mówi, prosze pana?...

— O to mniejsza, w gruncie rzeczy...

— Ów ktoś jakby się namyślał!

— Mówi Yardley, przyjaciel pana Dicksona. Do widzenia...

Teraz tamten jakoś za prędko przerwał rozmowę. Missis Crown chętnieby się jeszcze czegoś o swym panu dowiedziała — ale połączenie już było przerwane.

Gdy tylko Tom Wills przekroczył próg mieszkania przy Baker Street nieoceniona gospodyni poinformowała go na swój sposób o tej rozmowie.

— Pudding, — rzekła z posępną miną, — będziemy musieli zjeść sami. Pan dzisiaj znów nie przyjedzie.

— Skąd pani wie o tym?...

— Dzwonił tutaj jeden. Przyjaciel pana. Nazywa się Yardey. Oddał ukłony dla pana i dla mnie i powiedział, że pan dopiero za tydzień przyjedzie... Dobre i to, że przynajmniej za tydzień, ale za to już napewno.

Tom kazał sobie dokładnie powtórzyć tę rozmowę. Pani Crown, która lubiła wprawdzie mówić wiele, ale tylko wtedy, gdy sama chciała, a nie gdy ją ktoś rozpytywał — trochę się zirycowała, ale powtórzyła wszystko jak najdokładniej...

Po kilkunastu minutach Tom już zamówił sobie wizytę u intendenta Goldfielda w jego gabinecie w Scotland Yardzie.

— Widzi pan, — wywodził uczeń Dicksona, — sprawa owego Yardleya wydaje mi się mocno podejrzana. Czy zna pan Yardeya?... Czy słyszał pan nie tylko o przyjacielu, ale choćby o znajomym o takim nazwisku?... Przecież znają się panowie od dzieci i pracowaliście stale razem...

Intendent, jak zwykle, gdy se nad czymś zastanawiał — potarł podbródek.

— Nie, — rzekł po dłuższym namyśle. — Nie znam takiego nazwiska z naszego bliższego i nawet dalszego otoczenia.

— I ja nie znam. Jaki stąd wniosek?

— Wniosek bardzo prosty: że ten Yardey to ktoś, kto nosi inne nazwisko.

— Czy nie sądzi pan, że idąc dalej, należy przy puścić, iż ów Yardey jest wrogiem, że zatelefonował tylko tylko dla tego, aby uspić nasze zaniepokojenie o mistrza?...

— Trzeba przyznać. — zauważył intendent. — że jeśli taka była intencja tego „kogoś”, to nie działał zbyt przebiegle. Przecież powinien był być przygotowany na to, że się poważnie nad tym do-niesieniem zastanowimy...

— Tak jest, ale uważał, że trzeba zaryzyko-wać. Ten człowiek musiał wiedzieć że nie dosta-liśmy ani jednego listu od mistrza, musiał sobie zda-wać sprawę z naszego niepokoju i był niewątpliwie przekonany, iż lada dzień rozpoczniemy poszukiwa-nia. Przypuszczał, że jeśli mu uwierzymy, zyska kilka dni, dla siebie bardzo może cennych...

Goldfield znów potarł podbródek:

— Ten człowiek napewno jest w kontakcie z Dicksonem. Napewno wie, że Harry nie mógł do nas napisać i dlatego dał znać pozornie w jego imieniu.

Tom był tak bardzo zaniepokojony, że nie mógł już usiedzieć w głębokim fotelu klubowym w wspa-niałym gabinecie intendenta. Wstał i rzekł drżącym głosem:

— Mojemu szefowi grozi jakieś poważne niebez-pieczestwo! Musimy go ratować!

Intendent spojrział na zegarek:

— Kurier do Norwich odchodzi za dwie godziny

Goldfield nacisnął guzik telefonu wewnętrznego i rzucił kilka rozkazów. Uradowany Tom nie słu-chał, co mówił intendent, ale jedno zrozumiał dosko-nale: Goldfield szykował się do wyjazdu

— Jedziemy! Zabierzemy ze sobą kilku ludzi. I mocne lampy z reflektorami. Jedziemy w krainę moczarów i bagien. Poszukamy Dicksona w okre-gu Wash.

Tegoż wieczoru mknęli już ekspressem w stro-nę Norwich...

## Jeszcze jeden więzień.

Przez dwa dni Dickson nie miał powodu, aby narzekać na więzienie, w którym się znajdował. Mógł zresztą w każdej chwili uwolnić się z niego, i nawet odpiłował przezornie kilka krat, aby wujść kiedy zechce przez okno. Narazie jednak wołał trwać na posterunku i czekać na dalszy bieg wy-padków. Soames był uważnym sługą i dobrym ku-charzem. Pomagał detektywowi łowić ryby i był uprzedzającą grzeczną.

Trzeciego dnia, koło południa, Dickson ujrzał jakiś cień przy zakratowanym oknie swego pokoju. Po chwili tuż pod oknem znalazła się miss Luiza Addison.

Dickson jednym ruchem ręki usunął nadpiłowa-ne kraty i otworzył okno.

— Czym mogę służyć pani?

— Dlaczego pan nie ucieka? — rzuciła młoda dziewczyna wyraźnie podniecona.

— Jeszcze za wcześnie. Chcę tutaj zostać, aby jeszcze kilka spraw wyświecić.

— Czy pan wie, że tymczasem Hugo i Michel z narażeniem życia szykują panu ucieczkę? Właśnie

dlatego przyszedłem. Niech ich pan ratuje. Nie może pan od nich żądać takiej ofiary.

Dickson oderwał jeszcze jedną z nadpiłowanych uprzednio krat i wyszedł przed dom.

— Dzielny z pana człowiek, — rzekła młoda dziewczyna z podziwem. — Niech pan biegnie za mną, nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

Biegli ku wodzie, w stronę pałacu.

Nagle ciszę przeszył ostry krzyk:

— Hugo! Baczność!

Detektyw poznał głos Michela. Usłyszawszy to wołanie, miss Luiza, biegnąca przodem, skinęła na Dicksona, aby się pośpieszył.

Po chwili byli już nad brzegiem jeziora. Dick-son ujrzał sporych rozmiarów łódkę. Stał w niej te-raz Hugo Riderswood, który z trudem utrzymywał równowagę, i manipulował dużym, ciężkim wio-słem. Starał się uchwycić je, jak cep. Widać było, że szykował się do ciosu, przeciw jakiemuś niezna-nemu i niewidocznemu wrogowi.

Dickson po chwili rozpoznał owego wroga. Z wody wylaniał się bowiem wielki łeb tego samego rudego olbrzymiego psa, który próbował dostać się do jego pokoju. Jeżeli biedny Hugo nie trafi pierw-szym ciosem bestii — będzie napewno zgubiony!

Luiza i detektyw z bijącym sercem czekali, aż się rozpocznie ten niezwykle pojedynk człowieka z łaknącym krwi zwierzęciem.

Młody Riderswood zamachnął się. Wiosło wpa-dło w wodę. Łódź przechyliła się i był moment, że spoglądający na tę scenę sądzili, że nieszczęśliwy wpadnie do wody. Aby zachować równowagę — musiał w ostatniej chwili wypuścić wiosło. Nie tra-fił bestii.

— Zginie! — zawołała Luiza w najwyższym przerażeniu.

— Nie! — krzyknął detektyw, dobywając re-wolweru.

Rozległ się grom dwóch wystrzałów. Bestia, trafiona w samą czaszkę — zawyla przeraźliwie i wyskoczyła z wody, wynurzając się prawie całko-wicie i po chwili opadła ciężko i bezwładnie. Woda zabarwiła się krwią. Pies znikł pod wodą.

— Zabił pan... — jęczała Luiza. — Zabił pan ru-dego wilka. Co teraz będzie? Co się z nami stanie...

Podobnie Hugo i jego brat, miast dziękować detektywowi za jego nagłą pomoc — byli pełni lęku.

— Dlaczego miałbym go nie zabić? Czy wolał-by pan zginać pod kłami tego strasznego bydlęcia, tego wilka, jak się dowiaduję, a nie psa? ..

— Nie wie pan, jakie ma to dla nas znaczenie. Przecież tutaj w obrębie zamku została przelana krew... Niech pan się ratuje! Niech pan ucieka z tego domu, z tej okolicy, niech pan wraca do Londynu. Lękam się o pana, o siebie i o nas wszystkich!

Luiza, wzruszona i podrażniona w najwyższym stopniu, biagała Dicksona, aby ich pozostawił swe-mu losowi.

— Dobrze, pójdę, ale razem z wami wszystki-mi. Przecież kiedyś powinien nastąpić koniec tego koszmaru, w jakim żyjecie.

Słowa Dicksona wywarły na wszystkich trojgu wrażenie porunujące.

Hugo i Michel w pierwszej chwili, jakby pod-chwycili jego wezwanie. Ale zaraz potem cofnęli się z wyrazem krańcowej rezygnacji. Luiza cofnęła się odrazu.

— Nie, — rzekła, spoglądając na obu mężczyzn, — to jest niemożliwe. Nie wolno nam pójść poza te

mury. Nie chcemy. Sami nie chcemy, rozumie pan? Ale pan niech się śpieszy. Lada chwila może być za późno. Wróg napewno jest niedaleko.

— Mam jeszcze cztery kule. Nie lekajcie się. Nic nam nie może grozić.

— Znów pan chce zabijać? Znów krew przelewał! Przecież to oznacza nasza zgubę!

W tej chwili stała się rzecz okropna.

Luiza, przyglądająca się wodzie, zabarwionej krwią zabitego wilka, nagle wydała z siebie jakiś dźwięk dziwny, ni to śmiech ostry i przeszywający, ni to spazm straszliwy.

— „Krew! Krew!“ — krzyknęła, po czym odepchnęła obu mężczyzn, pobiegła do wody i wskoczyła w jej odmęty, płynąc szybko i krażąc w kołowej wodzie, jakby pławiąc się w niej.

— Musi pan uciekać! Nie zostanie pan tutaj ani chwili.

W głosie Michela było tyle siły i taki bezmiar leku, że Dickson nie umiał mu się sprzeciwić.

— Mam linę! Do muru!

Pobiegli we trójkę. Byli już przy samym murze, gdy nagle z za gęstwiny rozległ się ckrzyk:

— Stać!

Z wielką maczugą w potężnej dłoni szedł ku nim Soames.

— Ręce do góry, Soames — zagrzmiął rozkaz Dicksona.

Zamiast usłuchać rozkazu Soames opuścił ramię, uzbrojone w maczugę.

Rewolwer detektywa zionął ogniem i maczuga wypadła z potężnej łapy Soamesa, podczac gdy on sam wydał okrzyk bólu.

— Należy mi się od was podziękowanie, Soames, że celowałem w ramię, a nie w głowę. Miałbym ku temu pełne prawo.

Hugo i Michel zajęli się lekko rannym służącym.

— Zostaniemy z nim tutaj, — rzekł Hugo, — a pan niech się nareszcie wydostanie z tego piekła.

Po pięciu minutach detektyw prawie biegł po drodze, wiodacej do Bolton. Gdy ujrzał z dala pierwsze dachy osiedla — usłyszał za sobą odgłos szybko jadącego zaprzęgu. Dickson miał zaledwie czas skryć się za najbliższym żywopłotem. Popędzając niemłosiernie konie, walił po szosie w wściekłym galopie Robert Riderswood.

Uważny czytelnik spostrzegł niewątpliwie, że po pierwszym spotkaniu przy bramie muru i po pierwszej kolacji — Robert nie brał udziału w rozgrywających się wypadkach. Był chory. Tak przynajmniej został detektyw poinformowany i tym tłu maczono nieobecność Roberta. Robert zatym wyzdrowiał...

Obserwując z ukrycia pędzący wolant — detektyw stwierdził, że Robert Riderswood, zamiast jechać wprost do miasteczka, skręcił w polną drogę na prawo...

— Ciekaw jestem, — rzekł do siebie Dickson, — dokąd ten pan się wybiera. O ile wiem, o kilkaset metrów od drogi zaczynają się błota.

Wiedziony ciekawością, Dickson również skręcił w drogę polną, kierując się za śladem kół. Nie wiedząc sam z jakiego powodu, a tylko idąc za głosem wewnętrznym, który ostrzegał go, że tutaj może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo, detektyw szedł powoli, rozglądając się wokół, czujny na najlżejszy szelest, idący od strony błot.

Zapadł już zmrok. Cienie wydłużały się. Od moczarów wiało stęchlizną i wilgocią. Rozległo się

przeciągłe nawoływanie kuliga. Jakiś duży ptak błotny, jakby czapla, przeleciał nisko. Cisze zakłóciła nagle przeciągłe, żalosne rzenie konia. Dickson przyspieszył kroku. Niewątpliwie rżał jeden z koni Roberta Riderswooda.

Wreszcie z za małego wzgórza wyłonił się już nie domek, ale raczej zapadająca się w ziemię chałupina. Był to niewątpliwie ów dom Wardletona.

Uszu Dicksona dobiegło jeszcze raz krótkie parsknięcie konia i brzęk uprzęży. Potem była znów cisza, przerywana jedynie odgłosem układającego się do snu ptactwa.

Dickson obszedł całą zagrodę. Z jednej strony nie było do niej wcale dostępu. Błota wdzierały się do mieszkania tajemniczego ascety, który akurat tutaj obrał sobie miejsce na mieszkanie. Wolantu już nie było. W domu panował spokój i martwota.

W gęstym żywopłocie cierniowym znalazł Dickson niewielki wyłom. Przedostał się tuż pod chatę. Z rewolwerem w rękę zakradł się wreszcie do środka.

Próchniejąca deska od podłogi zaskrzypiała głośno. Niemał równocześnie rozległ się żalosny, błagalny prawie głos:

— To pan Robert?... Błagam pana o wolność! Proszę mi darować życie... Panie Robertcie, niech się pan nade mną zlituje.

Detektyw poznał ten głos.

— Topkins, co się z wami dzieje? Kto was tu uwięził?

— To pan Dickson? POCO pan tu przybył? Czy i pana tutaj przywieźli jak mnie?

— Nie. Przyszedłem aby was uwolnić. Topkins. Gdzie jesteście?

— W piwnicy. Ale to pan Robert obiecał mnie uwolnić, więc możeby pan poczekał, aż pan Robert przyjedzie.

— Przecież pan Robert był tutaj. Ale widać zapomniiał o swym kochanym Topkinsie. Zaraz zobaczymy co się da dla was zrobić, Topkins.

Dickson zapalił latarkę elektryczną i zeszedł do piwnicy. Topkins był zakuty w kajdany. Nie zwyczajając na jego wahanie, czy nie poczekać na Roberta — Dickson przy pomocy swego pilnika uwolnił nieszczęśliwego i wyprowadził go z piwnicy. Ku swemu przerażeniu ujrzał na szyi Topkinsa głęboką krwawiącą ranę.

— Kto was zranił? W jaki sposób?

Topkins był mocno zaskoczony tym pytaniem.

— Nic, nic mi się nie stało, — bełkotał, — sam się zraniłem, gdy się próbowałem uwolnić od tych kajdanów i łańcuchów.

— Kłamiesz przyjacielu! To są rany kłusane. A możesz się sam ugryźć w szyję i piersi?... Kto to zrobił, mów! — Dickson czuł, że jest teraz u samego źródła zagadki, której od tylu dni nie mógł rozwiązać w pałacu. Skierował światło latarki prosto w oczy Topkinsa i powtórzył z mocą: — Mów! Kto cię pokasał!

Topkins ukląkł przed detektywem:

— Niech mnie pan o nic nie pyta!... I niech mnie pan nie uwalnia. Dla mnie nie ma wolności. Ja muszę być tam, za tym dużym murem. Bo inaczej...

Dickson zrozumiał nagle wszystko:

— ... Bo inaczej — bedziesz musiał wracać do więzienia w Larkmoor, do więzienia, leżącego z tamtej strony bagien. Do tego więzienia, z którego zbiegłeś ty i Soames i może jeszcze ktoś ze służby Riderswoodów! Tak jest! Mów! Obiecuję ci, że uczynię wszystko, byś do Larkmoor nie wrócił.

Mów, kto cię pokasał. Mów, co się dzieje w domu lorda!

Dickson trząsał wątłym ciałem zbiegłego więźnia. Świecił mu cały czas w oczy swą jasną latarką. Stał bokiem do okna.

Nagle Dickson miał wrażenie, że to jego lampka elektryczna wypaliła. W jednym i tym samym momencie rozległ się bowiem huk wystrzału: brzęk tłuczonej szyby i nieszczęśliwy Topkins padł martwy.

### Krwawa tajemnica.

Harry Dickson biegł, ile miał tchu w piersiach.

Nie widział i nie słyszał, ale czuł za sobą pogoni, czuł wroga śmiertelnego, który godził na jego życie. Po kilkunastu przebytych metrach niebezpieczeństwo stało się już jawne: z pół tuzina kul śwignęło mu koło uszu i ostry tetent wielkich kroków zbliżał się ku niemu coraz bardziej. Gdy obejrzał się — dojrzał potężną sylwetkę, wylaniającą się z mgieł, opadających teraz na moczary

Dickson strzelił.

Rozległ się przerażający, nieludzki ryk, podobny do tego, jaki rozległ się owej koszarnej nocy w pałacu.

Dickson biegł dalej. Czuł, że szybko straci siły, że padnie na te błota i że dosięgnie go bestia, której straszny ryk dźwięczał mu jeszcze w uszach. Potykał się na nierównościach gruntu; wpadał raz po raz po kolana w grzesawiska. Zaczynały się bagna. Tam dalej czekała go śmierć w okropnej błotnej topieli. Zdaleka słychać łopotanie skrzydeł zbudzonego ze snu ptaka i przeraźliwe wołanie któregoś z mieszkańców moczarów.

Dokąd biec?... Gdzie się skryć... Dickson dojrzał w oddali krzaki. Tam może znajdzie kryjówkę.

Biegł dalej, gdy nagle zatrzymał się już zupełnie zrezygnowany. Dosłyszał czyjeś głosy, a po chwili ujrzał wielką smugę światła, błaznącą najpierw po niebie, a potem pełzającą po błotach. Był zgubiony! Szukano go przy pomocy reflektorów!

Dickson był teraz zdecydowany na wszystko. Wolnym krokiem ruszył ku światłu. Niech go widza, i tak go znajda lada chwila...

— Ani kroku naprzód, bo strzelam!

Detektyw próbował im grozić, licząc, że może jednak go się ułękna.

— Niech pan nie strzela!... Mistrzu!...

Czy Dickson śnił?... Przecież to głos Toma Willsa!

Rozległy się radosne okrzyki powitania. Dwie dłonie przyjaciół: Toma i intendenta Goldfielda ze Scotland Yardu — uściśniły dłoń Dicksona.

Stało się jak przewidywał Dickson. Wills przydał się więcej, będąc w Londynie, niż gdyby był tutaj, wraz ze swym mistrzem.

Zaniepokojony brakiem wiadomości od Dicksona z Bolton — Tom Wills porozumiał się z intendentem Goldfieldem i obaj, przekonani, że detektyw jest w niebezpieczeństwie — wyruszyli do Norwich. Przybyli w samą porę.

— Zajazd pod „Dwoma Krzyżami“ jest stąd o niecałą milę. Te biegi z przeszkodami wśród błot wymagają małego pokrzepienia. Trzeba koniecznie, aby się pan napił gorącego grogu.

Dickson nie myślał rezygnować z rozwiązania zagadki, ale czuł, że musi się pokrzepić.

Pełna dymu, oświetlona naftową lampą, choć wcale miła izba w zajęczdzie wiejskim w Bolton, wydała się w tej chwili detektywowi najwspanialszym lokalem na ziemi.

Gdy już lyknął raz i drugi gorącego grogu — wezwał do siebie oberżystę:

— Zna pan chyba tutaj wszystkich w okolicy. Może mi pan powie kim jest p. Wardleton, zamieszkujący licha chatę, tuż koło błot.

Oberżysta otworzył oczy ze zdziwienia:

— Wardleton?... Przed wielu laty, o ile słyszałem, mieszkał w tych stronach, ale już dawno, albo zmarł, albo wyjechał. Tamten drewniak jest pusty i przez nikogo nie zamieszkały.

— A kto pełni w tej gminie funkcje urzędnika stanu cywilnego?

— Ja. Jestem Nathaniel Trent, do usług szanownego pana.

— To doskonale. Czy może mi pan w takim razie powiedzieć, kto mieszka w pałacu lorda Riderswooda?

— Nie znam tych ludzi. Przed paru laty zjawili się tutaj raz jeden Soames i upił się. Ale to człowiek milczący i ponury. O pozostałych nie wiem.

— Mógłby mi pan w takim razie pokazać księgi metrykalne?

Grube księgi, prowadzone bez zarzutu, znalazły się na stole. Dickson przewracał poźółtkle karty.

Nagle aż krzyknął ze zdumienia... Zwrócił się do Goldfielda:

— Czy nie przypomina sobie pan pewnej damy zwanej „Posagowa Nelly“... Pomyśl dobrze, mój stary, wysił swą pamięć...

Intendent Goldfield zmarszczył czoło i potarł podbródek.

— Tak... Tak. Coś nie coś sobie przypominam.

— Zaraz przypomnimy sobie resztę! Panie oberżysto, ma pan przecież telefon? Zechce mnie pan połączyć z naczelnikiem więzienia w Larkmoor.

Na połączenie z odległym o kilkanaście kilometrów więzieniem nie trzeba było długo czekać.

— Tutaj Harry Dickson. Mówię również w imieniu intendenta Goldfielda ze Scotland Yardu. Czy miał pan naczelnik liczne ucieczki w ostatnich latach?

— Niestety, tak.

— Czy udało się ująć zbiegów?

— Od kilku lat wszelkie poszukiwania były bezowocne.

— Zdaje mi się, że będzie pan mógł jutro, w ciągu jednego dnia, powetować sobie niepowodzenia za całe lata. Poproszę tylko o oddział dwunastu strażników, ale porządnie uzbrojonych. Dobrze?

— Tak jest. Może pan na to liczyć!

— Do jutra... Jutro wszystko się wyjaśni. — rzekł Dickson spoglądając w kierunku tajemniczej posiadłości lorda Riderswooda.

★

Detektyw i jego dwaj przyjaciele kończyli właśnie śniadanie, gdy za oknami rozległ się odgłos maszerującego oddziału. Byli uzbrojeni w rewolwery, karabiny i palki gumowe.

— Mam nadzieję, — rzekł Dickson, ładując pełnym magazynem swój rewolwer, — że nie przelejemy ani jednej kropli krwi.

Komendant oddziału zameldował się Dicksonowi.

— Pójdziemy najpierw do domu na błotach. Po tem dopiero odwiedzimy pałac lorda.

U progu nędznej chałupiny leżało ciało nieszczęśliwego Topkinsa.

— Tad Butler! — zawołał starszy strażnik. — Zbiegł przed trzema laty. Miał jeszcze dziesięć lat do odsiedzenia! Szkoda go. Nie był najgorszy!...

Szybkim marszem przebyli teraz dwie mile, dzielące ich od pałacu Riderswooda.

U bramy stał sam lord.

— Proszę. Niech panowie wejdą. Czekałem już na was. Nie potrzebni są tutaj ci panowie, tak mocno uzbrojeni. Nikt nie zamierza się im opierać. Ja tutaj rządzę, a dla mnie od wczoraj nawet tak miżerne, tak okrutne życie jakie dotąd wiodłem, utraciło wszelki sens. Oplakuję zmarłą, panie detektywie. Wyzionęła ducha nad ranem. Kula pańska skróciła jej dni... Niechaj Bóg raczy ją przyjąć do swej światłości. Była to kobieta nieszczęśliwa, przeklęta za życia...

Wszyscy przeszli do biblioteki.

— Proszę o wydanie zbiegów z więzienia w Larkmoor, których pan ukrywał, — rzekł intendent.

— Jeden stanął już przed Sądem Boskim — to Topkins. Dwaj inni zbiegli. Nie zatrzymywałem ich — bo i oni okupili już swą własną krwią i dobrymi uczynkami wolność, którą wbrew prawu zdobyli. Pozostaje tylko ten oto człowiek.

Lord otworzył drzwi sąsiedniego pokoju.

Przymocowany do krzesła, próbujący jeszcze teraz wyzwolić się i rzucający okropne przekleństwa — spoglądał Robert Riderswood na zbliżającego się doń starszego strażnika.

— Al. Szuwałow! Mamy go nareszcie! Skazany był na dożywocie! Ale lepszych od niego wieszano!

— Poza tym człowiekiem, w domu jest jeszcze miss Winsham, której chyba nikt nie ma nic do zarzucenia i miss Addisor...

— Pańska córka, mylordzie! — rzekł Dickson.

Z piersi starca dobył się jęk bólu.

— Już pan wie i o tem?... Oszczędzi mi pan zatem wyjaśnień i strasznych dla mnie, jako dla ojca, szczegółów.

— Córka pańska może się wyleczyć.

— Nie! — krzyknął Szuwałow. — Nie! Będzie wampirem, będzie ssala krew z żywych ludzi jak jej matka. Jak Natasza Dierżawin! Tak! Tak! — krzyczał Szuwałow. „Posągowa Nelly“ była piękna ale krwiożercza... Zginęła pod twoją kulą, Harry Dickson. A ja zginę na stryczku. Ale przedtem powiem wam, że was nienawidzę!

— Zabrać go! — rozkazał komendant oddziału straży wieziennej.

W bibliotece zapanowała cisza... Słychać było powolne tykanie staroświeckiego zegara. Detektyw i jego przyjaciele rozmyślali o dziwnych kolejach lorda Riderswooda, który sprzął swój los z Nataszą Dierżawin, zwaną „Posągową Nelly“...

— Czy moglibyśmy ją zobaczyć?...

Lord pochylił głowę na znak zgody.

Dickson po raz pierwszy znalazł się w frontowych pokojach pałacu. Dotychczas wolno mu było przekroczyć tylko próg jadalni i biblioteki.

Lord poprowadził detektywów do korytarza, zupełnie ciemnego, poczem weszli do jego sypialni.

Tom i Goldfield gdy zajrzeli w głąb pokoju, wydadli okrzyk zdziwienia. Mieli wrażenie, że są w pracowni astronoma i zarazem alchemika.

Pod oknem, na wysokim i szerokim statywie stał wielki teleskop. Specjalny otwór w górnych szbach okna umożliwiał badania przez teleskop całej okolicy. Statyw zaopatrzony był w mocne szczebie, przypominające stopnie.

— Chciałem panom już wszystko zdradzić, wszystkie tajemnice odsłonić. Dlatego powiodłem was najpierw do tego pokoju. Żyłem w ciągłej trwodzie, że ktoś ujawni mój sekret i że moja nieszczęśliwa miłość do tamtej kobiety przestanie być wyłączną moją tajemnicą i tych kilku ludzi, którzy żyli pod moim dachem. To też całymi godzinami wypatrywałem wszystkie drogi wokół, bacząc, czy do mego domu nie zbliża się oddział policji, lub czy nie idą strażnicy z Larkmoor.

— A gdyby ich pan dojrzał? — zagadnął lorda Dickson. — Co wtedy?...

— Wtedy, — odparł lord opuściwszy głowę — wtedy odebrałbym sobie życie, ale najpierw przerwałbym żywot mej nieszczęśliwej żony. To było moim niezłomnym postanowieniem.

— A dziś?... — rzekł Goldfield.

— Dziś, gdy Nelly już nie żyje, mogłem już wpuścić do swego domu przedstawicieli prawa. O mnie mniejsza...

Dickson rozejrzył się po dziwnym pokoju. To tutaj raczej była biblioteka. Grube tomy stały na wysokich półkach, leżały na wielkim staroświeckim biurku...

— Zastanawiają panów te książki, — rzekł lord. — Są to prace naukowe z dziedziny psychiatrii. Do ostatnich chwil życia żony nie straciłem nadziei, że uda mi się ją uzdrowić. Nie ma dzieła z dziedziny chorób podobnych do tej, na jaką cierpiała moja żona, bym go nie przestudiował. Znam języki obce. Byłem w kontakcie z kilkunastu wielkimi księgarzami, które przysyłały mi wszelkie wydawnictwa z tego zakresu. Gdy interesująca mnie rzecz ukazywała się w języku obcym — nie wahałem się i powierzałem jej tłumaczenie wybitnym specjalistom... Zdaje mi się, że dziś mógłbym w sprawie leczenia tych chorób zająć stanowisko czołowe wśród najważniejszych uczonych... Ale teraz na nic mi już ta wielka wiedza... Ta, dla której ją zdobyłem — nie żyje...

Lord zamilkł. Duża łza potoczyła się z oczu tego ciężko doświadczonego starca.

Dickson, intendent Goldfield i Tom Wills milczeli również...

Wreszcie lord odezwał się pierwszy:

— Ta tutaj luneta służyła mi do wypatrywania czy nie zbliża się ktoś, kto by mocen był odkryć tajemnicę mego życia. A teraz, niech panowie pozwolą do przeciwległego pokoju.

Przeszli przez korytarz i znaleźli się w pokoju o oknach, wychodzących na park.

I tutaj stał teleskop, jeszcze większy od poprzedniego.

Dickson zbliżył się do okna.

Za oknem stał się szeroki pejzaż na całą smutną i pełną melancholii okolicę. Dom stał nieco na wzniesieniu. Na pierwszym planie widać było te same wody, którym przyglądał się Dickson, gdy po raz pierwszy znalazł się w różowym pokoju — dalej widoczne były moczary i grzędzawiska, poprzecinane strumieniami i rozłogami wodnymi.

— Czy dostrzega pan coś na horyzoncie?... Mały ciemny punkcik?...



Lord zbliżył się do okna i wskazał palcem hen, aż poza grzęzawiska.

Dickson miał dobry wzrok, ale nie mógł nic dojrzeć.

Do okna podszedł Tom Wills; jego młode oczy nie zawiodły:

— Widzę jakby gmach jakiś!

— Musi to być więzienie w Larkmoor — rzekł Goldfield.

— Tak jest, — powiedział lord. — Proszę teraz spojrzeć przez lunetę.

Dickson wszedł po kilku szczeblach i przyłożył oko do okularu teleskopu.

Ujrzał szary gmach więzienia w Larkmoor jak na dłoni. Dojrzeć można nawet było posterunki strażnicze przed wrotami; widać było auto ciężarowe, mknące po szosie...

Na bagnach zaś każdy szczegół widoczny był tak wyraźnie, że chyba policzyć możnaby było źdźbła trawy w każdej kępie, rosnącej na moczarach...

— Wie pan poco mi była ta luneta?...

— Domyślam się. Wypatrywał pan przez nią zbiegów... I przyjmował ich pan do siebie...

Lord nie odpowiedział.

Wyszli z pokoju. Byli znów w długim korytarzu.

— Od trzydziestu lat po raz pierwszy przekracza stopa obcego człowieka progi tych pokoi, — rzekł lord. Po raz pierwszy tajemnice, których tak zazdrośnie strzegłem — sam odkrywam. Jest w tym domu wiele rzeczy niezwykłych, może nawet niesamowitych. Ten pokój również do nich należy.

To mówiąc, lord pchnął ciężkie drzwi.

W pokoju czuć było od progu psią woń. Za całe urządzenie służyły tutaj dwa kojece. Jeden wielki drugi — znacznie mniejszy. Obok kojców stały miski.

Gdzieś z kąta pokoju słychać było żalosne skomlenie.

Po chwili małe szczenie, rude zupełnie, wciśnięte, z ostrym wilczym pyszczkiem, wydostało się z za dużego kojca i wyszło ku przybyszom.

— Karmimy go z butelki. To szczenie naszej Lakme, wilczycy, która również padła od kuli pana...

Szczeniak łasił się, piszczał i skomlał przeraźliwie. Tęsknił za matką...

Dickson pochylił się nad szczeniakiem. Wilcza krew odczuwała się nagle w tym małym jeszcze drapieżcy. Odsłonił białe jak śnieg zęby i zawarczał głucho.

Dickson schwycił za pysk rozgniewanego wilczka, pobaraszkował się z nim i, pochylony nad tą kulka czerwonej sierści, zagadnął lorda:

— Dlaczego uważali wszyscy za tak wielkie nieszczęście fakt, że zastrzeliłem starą wilczycę. Przecież uratowałem w ten sposób życie Hugonowi?...

— Lakme była ulubienicą Nelly. Był to ostatni z potomków wilków, których tresura popisywała się w budach jarmarcznych. Zresztą Lakme pozwalała się... kasać. Była do tego przyzwyczajona...

Mały wilczek kręcił się ciągle u nóg lorda. Starzec pochylił się ciężko, wziął go i pogłaskał. Podszedł potem do sznura z długim chwastem, zwisającego u nagiej ściany i pociągnął ostro. W głębi domu rozległ się dźwięczny ton dzwonka.

Po chwili w „wilczym“ pokoju zjawił się Soames. Widać było, że był zdumiony obecnością „obcych“. Ale po chwili, gdy zdał sobie sprawę z cał-

kowicie zmienionych stosunków od śmierci Nelly, na jego twarzy odmalowała się znów zwykła obojętność.

— Soames, — rzekł lord. — Przyrzeknij mi, że zaopiekujesz się tym maleństwem. To jedno jedyne co wam po niej zostanie.

Służący wziął psa z rąk swego pana.

Odwrócił się i skierował ku drzwiom. Nie widać było jego twarzy, ale głos mu drżał gdy rzekł cicho:

— Tak jest, będę pamiętał...

Mieści jeszcze kilka pokoi. Znaleźli się w świetlicy ozdobionej kirem i kwiatami. Na wielkim katarfalku, oświetlonym gromnicami, spoczywały zwłoki kobiety-olbrzyma, ale zarazem niezwyklej piękności. Zmarła miała doprawdy kształty posagowe, przypominające arcydzieła rzeźby greckiej.

— Biedna „Posagowa Nelly“... — westchnął Goldfield.

Gdy tak stali w ciszy i milczeniu, każdy pogrążony w niewesołych rozmyśleniach, jakie wzbudzał widok zwłok i nieszczęśliwego starca, oplakującego zgon tej, którą przed kilkudziesięciu laty pokochał — nagle dobiegły ich uszu głośne kroki w sąsiednim pokoju. Otworzyły się drzwi, na progu stała Luiza.

Z jej pięknych oczu wodziła teraz trwoga i rozpacz. Było w jej spojrzeniu coś dzikiego, coś, co wzbudzało lęk, ale i budziło zachwyt.

Ujrzała obcych ludzi; dostrzegła między nimi ojca. Chciała podbiec do niego, lecz zatrzymała się nagle, powiodła po wszystkich obłądnym wzrokiem i nagle... Tutaj stała się rzecz straszna.

Luiza, piękna i młoda dziewczyna, przeobraziła się nagle w potwora. Twarz jej zmarszczyła się potem górna warga poczęła się powoli unosić, odsłaniając olśniewającej białości zęby i wreszcie, gdy warga już zupełnie się skurczyła, z gardła dziewczyny rozległo się jakby warczenie.

Stała tak przez chwilę, groźna i przerażająca; urocza i odpychająca.

Widać było, że walczyła ze sobą. Chciała w sobie zmóc straszny instynkt, budzący się w niej pod wpływem bólu po stracie matki... Opanowała się. Ucichła, poczęła potem strasznie szlochać i nagle podniosła wzrok na Dicksona. Wskazała nań wyciągniętą dłonią i krzyczała:

— To on!... To on jest wszystkiemu winien! Zabił Lakme! Ujrzałam krew i wskoczyłam do krwawej wody. Od tego czasu już się to we mnie obudziło!...

Lord zbliżył się do córki, i z niezwykłą tklivością poczęł ją uspokajać:

— Nie płacz, — mówił, — nie płacz... Teraz dużo się zmieni. Teraz będziesz mogła żyć jak wszyscy ludzie. Pojedziesz do Londynu...

Dziewczyna, usłyszawszy, że ma wyjechać, wyrwała się z objęć ojca:

— Nie chcę! Za nic nie chcę! Boję się ludzi, ojciec! Boję się siebie!...

Poczęła znów strasznie szlochać i padła u katarfalku, u stóp ciała matki...

Płakała coraz ciszej. Płakała nad śmiercią tej, którą kochała, a może i nad sobą, nad strasznym dziedzictwem, jakie na nią spadło.

Dickson ujął lorda za ramię:

— Niech się wyplacze. Łzy koją wszelkie cierpienia. Dobrze tym, którzy umieją płakać.

Wyszli.

— Ote wszystko, — rzekł lord, — com miał pan do pokazania. Odkryłem przed wami nawet głab swego serca... Nie zatailem niczego... Biedna nieszczęśliwa Nelly... Była mi dobrą żoną. A do ostatnich dni swoich była piękna, jak za czasów młodości, jak wtedy, gdym ją pokochał, nie bacząc na jej straszne instynkty, na jej straszne kalectwo.

Lord zamilkł. Szli wolnym krokiem przez korytarze o kamiennej posadzce. Kroki ich rozlegały się w ponurym domu echem porywającym, jakby szli w erdzaku pogrzebowym.

— Nie żałuję niczego, panowie, — szepnął lord. — A sprawiedliwości ludzkiej już się nie lękam. Stałem wkrótce przed innym Sędzią...

Byli u ganku. Starzec, nie żegnając się, wyprostowany, ruszył ku parkowi...

Nikt nie miał serca go zatrzymywać... W tym człowieku, który odchodził, była moc wielka i siła ducha...

★

Oberżysta Trent podał gorącą kawę i koniak. Pogoda była dżdżysta. Za oknami świszczal wiatr.

— Goldfield, — rzekł Dickson, — ma pan prawo zganić mnie jak pierwszego lepszego agenta. Popelnilem wielki błąd. Zamiast zacząć od przeglądu ksiąg metrykalnych tutaj w tej oberży — dopiero pod sam koniec, gdym był o włos od śmierci, od której wyratowaliście mnie z Tomem, wpadła mi ta prosta myśl do głowy. Wszystko zrozumiałem, gdy tutaj, w księgach, prowadzonych przez Trenta, dowiedziałem się, że żoną lorda jest Natasza Dierżawin.

— Co to za jedna? Dlaczego nazywali ją „Posagowa Nelly“?

Tom Wills nic nie rozumiał.

— Działo się to nie za twoich czasów, mój chłopcze, — odparł Goldfield. — Przed trzydziestu mniej więcej laty pokazywano ją w budach jarmarcznych w całym kraju. Była piękna, zbudowana jak Junona, mierzyła dwa metry i dwadzieścia centymetrów wzrostu. I miała przepiękny głos. Za szylinga mógł ją każdy zobaczyć. Była poskromicielką wilków, pięknie śpiewała i żywiła się tylko świeżym mięsem, a raczej świeżą krwią. Nazywano ją „Posagową Nelly“, bo na imię jej było Natasza - Natalia lub po angielsku Nelly. Miała również przezwisko „Kobiety wampira“. Była z pochodzenia Rosjanka.

— I właśnie w niej, — podjął Dickson, — w tej pięknej, ale i strasznej zarazem kobiecie, zakochał się bez pamięci lord Riderswood. Nie wahał się i poślubił ją. Ale odtąd zdał sobie sprawę, że musi zerwać ze swymi znajomymi, z całą swą rodziną i z całym swym dawnym życiem. Lord był konsekwentny. Zaszył się w tej głuszy, wśród błot i moczarów. Posiadłość leży w pobliżu słynnego więzienia w Larkmoor. Ojciec lorda, ze względu na to sąsiedztwo, otoczył całą posesję pałacową wielkim murem. Lękał się napaści ze strony zbiegłych więźniów, najcięższych przestępców z całej Anglii. Zamieszkał w pałacu z kobietą, do której pałał chorobliwą namiętnością. Przynajmniej jeden wilk towarzyszył zawsze tej strasznej, ale i pięknej kobiecie. Tutaj właśnie przyszło na świat ich jedyne dziecko — Luiza.

Dickson zamilkł na chwilę i popił kawę.

— Lord ludził się, — ciągnął teraz z kolei Goldfield, — że zdoła zagłuszyć w swej żonie jej strasz-

ne instynkty. Niestety ludził się daremnie. Piła krew ze swych wilków, a z biegiem lat i tego było jej mało. Zapragnęła krwi... ludzkiej!

— Tak jest, — potwierdził Dickson. — Lord bliski oblędu, nie wiedział, co czynić z wampirem, którym była jego żona. Przyszedł mu z pomocą przypadek. W parku ukrył się zbiegły z Larkmoor więzień. Lord dał mu gościć. Walczył ze straszną skłonnością „Posagowej Nelly“, ale zatrzymał pierwszego, zatrzymał i drugiego i dalszych zbiegów z więzienia — pod warunkiem, że ci dadzą swą krew jego potwornej żonie. Dlatego właśnie Hugo, Michel i Robert nosili zawsze wysokie kołnierze, zasłaniające straszne rany, zadane im przez wampirycę.

— Hugo, Michel i Robert? — Rzekł Tom w najwyższym zdumieniu. — Przecież to synowie lorda?

— Podawał ich tylko za synów. To sprawa Aleksego Szuwałowa, ostatniego ze zbiegów. Ten zbir najgorszego autoramentu począł szantażować lorda i zmusił go, aby go wobec ludzi traktował jak syna. Robert Riderswood, a właściwie Al Szuwałow miał wielkie ambicje: pragnął zawładnąć majątkiem lorda przez poślubienie jego jedynej córki — Luizy. I to on właśnie skazywał na śmierć, albo wydawał w krwiożercze ręce wampira każdego mężczyznę, który śmiał podnieść oczy na Luizę.

— Ale przecież i lord współdziałał w tym z tym zbirem? Jak to wytłumaczyć?

— Współdziałał, bo uświadamiał sobie, że jego jedyna córka ma te same skłonności, jakie miała matka. Nie chciał, aby ktokolwiek ją poślubił, nie chciał, aby nie tylko jego żona i jego córka, ale aby i jego wnuki były potworami, pijącymi krew ludzką...

— To straszne, — otrząsał się Tom.

— Nie rozumiem tylko, jaką rolę odgrywał Wardleton, tymbardziej, że go przecież faktycznie od wielu lat nie ma w okolicy?

— Są dane, aby sądzić, że ułatwiał on ucieczki z Larkmoor. Pomógł również w ucieczce Szuwałowowi. Wardleton zapewne go później szantażował, tak że Szuwałow poprostu „sprzątnął“ go. Od tej chwili występował on w roli Wardletona, przede wszystkim wobec więźniów z Larkmoor, którzy na dół byli przekonani, że ich pośrednik żyje i nadal gotów jest na ich usługi. Dostarczał w ten sposób „Posagowej Nelly“ ludzi z krwią, trzymał równocześnie ją w garści, a pośrednio panował również nad samym lordem. Gdy więźniowie poczynali zbyt interesować się Luizą — posyłał ich do rzekomego Wardletona i w ten sposób gotował im zgubę.

— Lord — ciągnął dalej Dickson — wysłał mnie również do Wardletona, wtedy, gdy Robert, alias Szuwałow, był chory. Lord chciał mi dać możliwość ucieczki...

Teraz sprawa listu do mnie. Napisał go Michel, najpoczciwszy z trójki zbiegłych więźniów, ale pod pisał imieniem Roberta, sądząc, że go w ten sposób zaskoczy. Robert dowiedział się o tym i nie sprzeciwił się temu. Miał zamiar i ze mną rozprawić się tak samo, jak z Topkinsem, który znalazł się w owej chacie za karę, że pił i poto, aby stać się ofiarą Nataszy. Kobieta - wampir goniła mnie. I kto wie co by ze mną się stało, — gdyby nie wy — moi drodzy.

— Nie rozumiem jeszcze, — rzekł Tom, — dlaczego zamknięto pana, jak nam pan opowiadał, w owym domku z kratami.

— Mam wrażenie, że działał tutaj Robert, jeśli mamy go tak nadal nazywać. Nie chciał ze mnie zrezygnować, a wiedząc, że lord pragnie mi ułatwić ucieczkę kazał Soamesowi, aby mnie zamknął. Robert był bowiem wtedy chory i nie mógł znaleźć się w domku na grzędawisku, aby odegrać rolę Wardletona.

— Czy nie sądzi pan, że ten dom, to było mieszkanie wampira?

— Najpewniej tak. Tym się tłumaczą również kraty w oknach i tak mocne zamki. Trzeba było ją więzić, bo gotowa była niekiedy rzucić się na ludzi ze swego otoczenia...

— Teraz jasnym się również staje, czemu nikt z mieszkańców pałacu nie chciał panu powiedzieć wszystkiego. Wiedzieli, że wraz z uwolnieniem ich od koszmaru, w którym żyli — zamknęłyby się za nimi wrota więzienia w Larkmoor..

— A kim był ów tajemniczy Yardley, który telefonował do mnie i oddał ukłony od pana?

— Szuwałow. Chciał on w ten sposób, zresztą naiwny, wprowadzić cię w błąd. Zależało mu na

tym, aby odwieść cię od zamiaru ewentualnych poszukiwań, gdyby dłuższa moja nieobecność wydała ci się podejrzana.

Kawa ostygła... Trzej przyjaciele wychyliłi po ostatnim kieliszku koniaku...

## Epilog.

Moczarzy okręgu Wash strzeżę zazdrośnie swych tajemnic.

Tej samej nocy, w której do pałacu wkroczył Dickson na czele oddziału straży więziennej — lord Riderswood zaginął. Mimo skrzętnych poszukiwań, nie znaleziono po nim ani śladu.

Biedna Luiza zmarła w kilka dni po śmierci matki. Nie przeżyła rozstania z jedyną istotą, którą ta dziwna, młoda dziewczyna prawdziwie kochała.

Soames został dziedzicem całej posiadłości, gdyż — jak się potem Dickson dowiedział — był on rodzonym bratem Nataszy. Ułatwił on ucieczkę Hugonowi i Michelowi, którzy oparli się aż w Argentynie.

## Koniec.




---

Następny **Nr. 5 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 8-go lutego zawierać będzie przygodę p. t.

# LUDZIE BEZ ADRESU

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.

---



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłudą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

**Dofychezas ukazały się w sprzedaży następujące numery:**

1. „Wyspa Grozy“.
2. „Tajemnica egzotycznego władcy“.
3. „Alarm w przestworzach“.

Czytajcie

Czytajcie

# PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

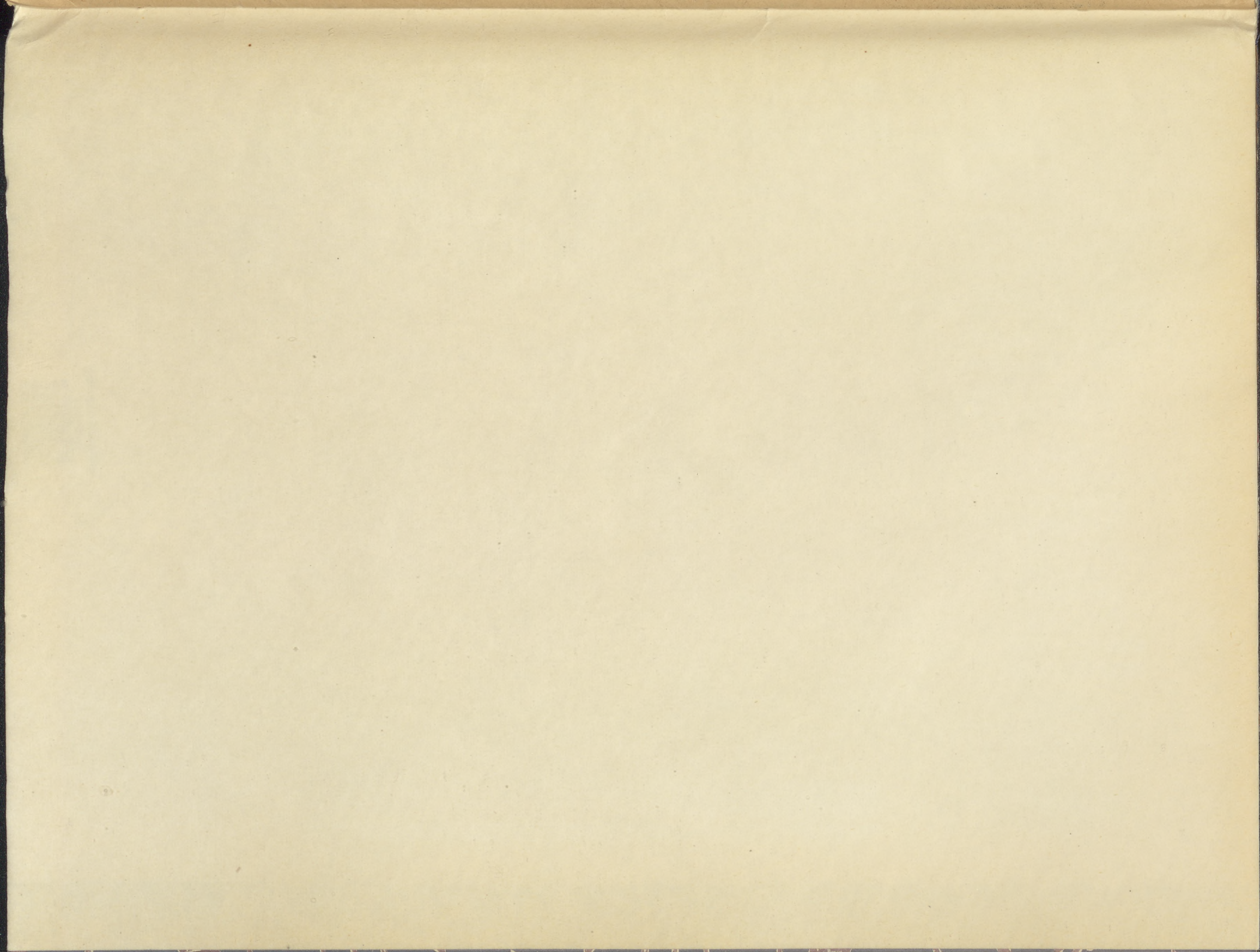
Co tydzień ukazuje się jeden ze-

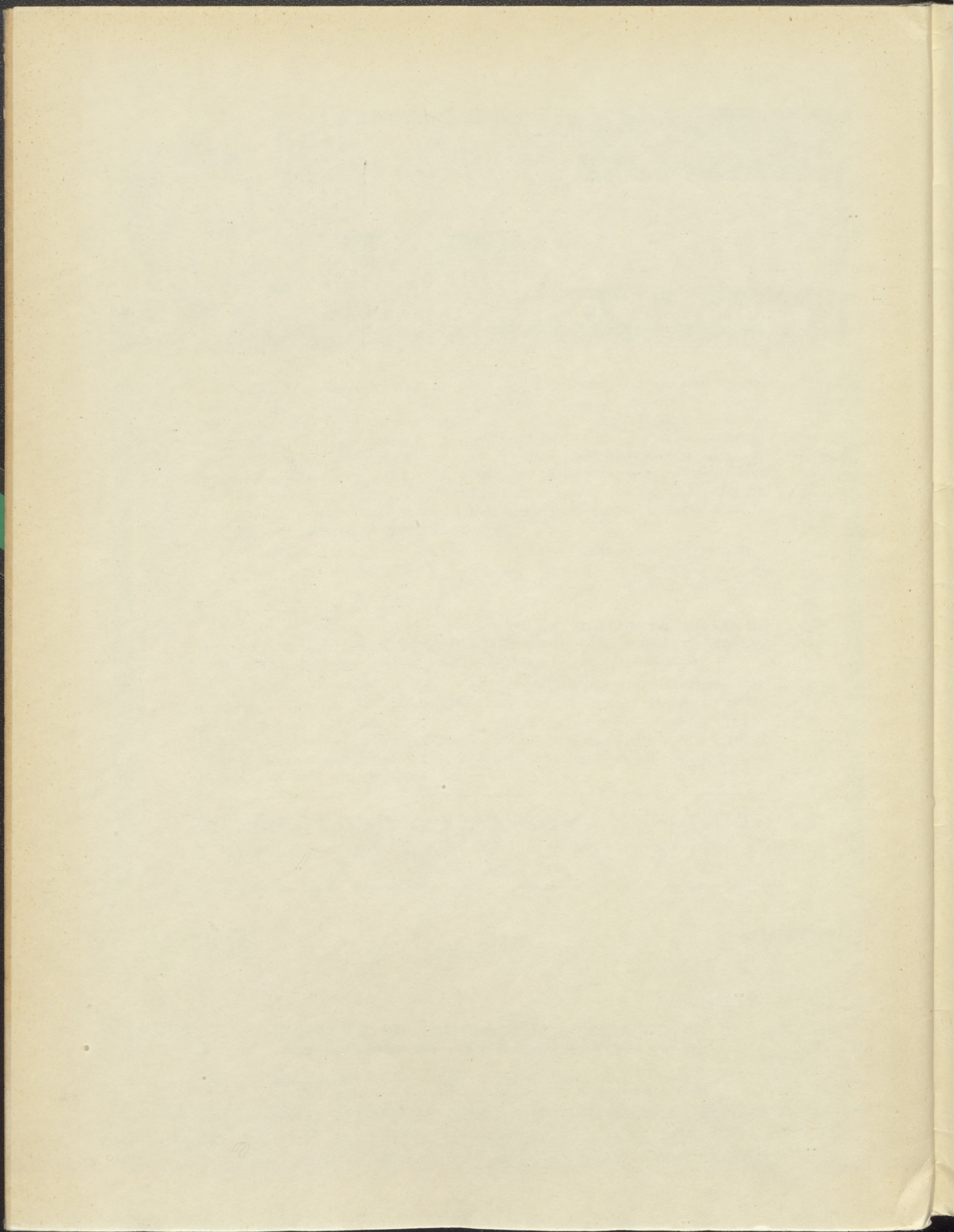
Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024365817





2dj

623405

4

BN

BN

BN

BN

BN